

Weź udział w konkursie Gazety. Do wygrania: telewizor, odkurzacz, robot kuchenny **Szczegóły - str. 2**

3.00 zł (w tym 5% VAT) / NR 11 (747)

ISSN 1231-9333



Rok XXXII/26.05.2022 r.
ISSN 1231-9333 INDEKS 323659
Nakład 1200 egz.

GAZETA BIESZCZADZKA

C Z A S O P I S M O • R E G I O N A L N E

www.bieszczadzka24.pl

Laptopy, smartfony, rowery i koperty pełne pieniędzy

DROGIE pierwsze komunie drogich dzieci

Takie wydatki to czyste szaleństwo – usłyszała od znajomej pewna kobieta, której córka przystąpiła tydzień wcześniej do pierwszej komunii świętej. Miała na myśli to, że dziewczynka została zasypana подарunkami za grube tysiące złotych.

Pierwsza komunia święta to wielkie wydarzenie w życiu dziecka i jego rodziców. Najczęściej powinno być do przeżycia ściśle duchowe, ale w obecnych czasach nierzadko to walka o prezenty. Czy na przestrzeni lat zmieniła się formuła wydatków? Co dominuje teraz wśród prezentów komunijnych, a co było popularne jeszcze kilkanaście lat temu?

Materia i duchowość

Na początku ubiegłego stulecia, ze względu na trudne czasy, jak również duchowe podejście do ceremonii, prezenty ograniczały się do minimum. Dziecko otrzymywało cukierki lub bombonierkę, pamiątkowy obrazek, a co bogatsi – biżuterię. W latach dziewięćdziesiątych zaczęły być popularne kultowe już zegarki z melodyjką, rowery górskie (koniecznie z wieloma przerzutkami) lub BMX. Ale sytuacja się zmieniła.

Jak wynika z badań serwisu Prezentmarzeń „Jak Polacy dobierają prezenty do okazji”, co trzeci Polak obecnie na komunię najchętniej wręcza tradycyjny rower. Drugą kategorią są prezenty drogie i materialne (28 proc.), takie jak tablety, laptopy, smartfony, aparaty fotograficzne. Coraz częściej Polacy idą z duchem czasu i wręczają podarki

w formie emocji lub vouchery (22 proc. badanych). Co ciekawe, najmniej osób wskazało, że powinny one nawiązywać do duchowego aspektu uroczystości (15 proc.).

Przez prezent najczęściej rozumiemy coś materialnego, coraz częściej jednak uważamy, że ludzie są szczęśliwsi, przeżywając określone doświadczenia niż dostając przedmioty materialne. Dziecko to kształtujący się przez otoczenie młody człowiek, ciekawy świata i otwarty na nowe doświadczenia. Zauważamy, że bliscy coraz częściej chcą podarować młodemu człowiekowi coś, co pozostanie w jego pamięci, a nie będzie rzucone w kąt. Zaletą prezentów w formie emocji jest również ich oryginalność. Możemy mieć pewność, że nasz prezent będzie niepowtarzalny i dostarczy wiele przyjemnych wrażeń – komentuje Aleksandra Bromblik z serwisu Prezentmarzeń.

Ciąg dalszy na str. 3



BIZNES I STYL str. 5

W Stańkowej prawie jak w Toskanii



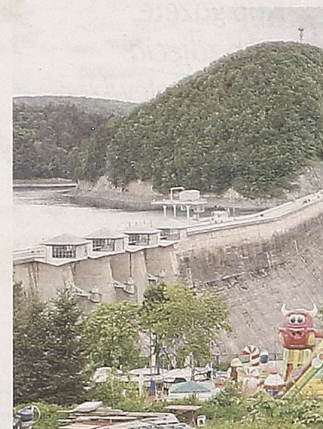
PORTRETY str. 6-7

Chodzi w góry cieszyć się życiem



HISTORIA str. 9

Boje o Chyrów, Solinę i ropę naftową



Jest coraz drożej, ale Polacy i tak wyjadą na urlopy Czy lato będzie gorące i tłoczne?



Początek maja 2022 roku. Grupa przyjaciół na przejażdżce bryczką w dolinie górnego Sanu. FOT. KRZYSZTOF POTACZAŁA

Jeśli wojna w Ukrainie nie zakończy się przed wakacjami, będziemy gościć znacznie mniej turystów niż w ubiegłym roku – twierdzą gestorzy bazy wypoczynkowej.

Już długi majowy weekend pokazał, że „majówkowiczów” było mniej, choć w niektórych miejscach aż się kłębili. Na przykład w Mucz-nem, gdzie do wieży widokowej na Jelenio-watym ciągnął długi sznur przyjezdnych. Ale już pięć kilometrów dalej, w Tarnawie Niżnej, szef lokalnego hoteliku i baru był niepokieszony: – Miałem o jedną trzecią mniej gości niż o tej samej porze w zeszłym roku.

Mnóstwo wolnych miejsc

Narzekali również właściciele restauracji i pensjonatów w innych zakątkach Bieszczadów. Ale nie byli zaskoczeni. Wkrótce po

wybuchu wojny na Ukrainie stało się jasne, że turyści z ostrożnością będą podchodzić do wyjazdów w Bieszczady. To wynika z ich przekonania, że skoro region graniczy bezpośrednio z Ukrainą, może być niebezpiecznie.

Więcej turystów wybrało w majówkę Cisnę i kolejkę wąskotorową, trochę ludzi – jak zawsze – zwiedziło Solinę i Polańczyk, piechurzy ruszyli na szlaki. Po drogach mknęły auta z obcymi rejestracjami, a jednak nie były to tłumy. W hotelach, gospodarstwach agroturystycznych zostało mnóstwo wolnych miejsc noclegowych, a niektórzy odwołali wcześniejsze rezerwacje, właśnie z uwagi na wojnę „za miedzą”. I chociaż toczy się ona głównie na wschodzie i południu Ukrainy, nie ma to większego znaczenia podczas planowania podróży przez Polaków.

Trzeba być dobrej myśli

– Pozostaje mi wierzyć, że lato okaże się łaskawe, nie tylko pogodowo – mówi szefowa eleganckiego pensjonatu nad Zalewem Solińskim. – Ale już nie tylko sama wojna, lecz także rosnące ceny zniechęcają ludzi do zaplanowania wakacji. Być może przedzie wybiorą zagranicę, bo ceny za usługi mogą być porównywalne.

– Jestem przekonany, że po pierwszych lękach sytuacja się uspokoi, a turyści masowo zjadą w Bieszczady – twierdzi właściciel dużego gospodarstwa agroturystycznego w Wetlinie. – Polacy mają to do siebie, że lubią pojeździć, utyskują na ceny, generalnie na drożyznę, a potem i tak wsiadają w auta i wyjeżdżają na urlopy. Ale może być tak, że zamiast na dwa tygodnie, przyjadą na tydzień. I będzie to zupełnie zrozumiałe. KP

Cenny eksponat spod Baligrodu

W masywie Manyłowej znaleziono blachę służbową Straży Połowej i Lasowej z połowy XIX wieku. To wyjątkowo cenny eksponat.

Członkowie Stowarzyszenia Eksploracyjno-Historycznego „Galicja” od kilku lat zajmują się poszukiwaniami śladów po wielkiej bitwie z okresu I wojny światowej w rejonie Manyłowej w Nadleśnictwie Baligród. Znaleziska podlegają kontroli konserwatora zabytków i w przyszłości znajdą swe miejsce w tworzonej izbie muzealnej poświęconej I wojnie światowej w tej części Bieszczadów.

Wśród „wykopków” znalazła się nieoczekiwana zupełnie zdobycz – to blacha służbowa Straży Połowej i Lasowej pochodząca z I połowy XIX wieku. – Ponieważ znalezisko nie należy do „wojennych”, wystąpiliśmy do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków o zgodę na wyeksponowanie blachy w Nadleśnictwie Baligród, jako jednostce, która dziś zarządza tymi lasami – mówi Artur Hejnar, wiceprezes stowarzyszenia „Galicja” – Uzyskaliśmy zgodę, wykonaliśmy też pieczętowaną konserwację eksponatu.

Prezes stowarzyszenia Sławomir Worek i wiceprezes Artur Hejnar uroczystie przekazali go na ręce nadleśniczego Wojciecha Głuszko. – Znajdzie miejsce w naszej sali edukacyjnej, gdzie będzie najstarszym bodaj eksponatem przypominającym o historii tutejszych lasów – zaznacza nadleśniczy. EdM



Nadleśniczy Wojciech Głuszko (tyłem) pokazuje zebrany cenny eksponat. FOT. EDWARD MARSAŁEK

Kup Gazetę Bieszczadzką, zrób zdjęcia, wyślij je do nas i wygraj cenne nagrody!



Kupon konkursowy nr 2

Kup gazetę,
zrób zdjęcia.
Wygraj telewizor,
robot kuchenny,
odkurzacz

Trwa otwarty konkurs fotograficzny pod hasłem „Bieszczady w moim obiektywie”. Zapraszamy Państwa do udziału w zabawie z nagrodami. A są naprawdę atrakcyjne – telewizor, robot kuchenny i odkurzacz przydadzą się każdemu.

Codziennie przemierzamy nasze ulice, podróżujemy, wyprawiamy się na wycieczki, jesteśmy świadkami zwykłych i całkiem niespodziewanych wydarzeń. Wszystkie te doświadczenia mogą być

dobrym tematem do zrobienia ciekawego zdjęcia i zatrzymania w czasie chwili, która już się nie powtórzy. Takie zdjęcie może być nie tylko miłą pamiątką, ale też cennym źródłem informacji z dziedziny obyczajowej, społecznej, popularyzacji naukowej, przyrodniczej i każdej innej. Dlatego warto fotografować – także aparatami wmontowanymi w smartfony, którymi można wykonać niebanalne, interesujące zdjęcie. Czasami lepsze niż „wypasioną” cyfrową czy aparatem analogowym.

Konkurs rozpoczął się 12 maja i potrwa do 31 sierpnia tego roku. Każdy z uczestników zapewne znajdzie czas, by wyjść z domu i uchwycić w obiektywie to, co warto uchwycenia. Interesują nas całe Bieszczady – zdjęcia pstrykane

w osadach, wioskach, miastach, w górach, leśnym ustroniu i każdym innym miejscu regionu. Takie, które przykuwają uwagę, a Państwu dadzą szansę na wygranie nagród rzeczowych.

Każdy uczestnik obowiązkowo powinien się zapoznać z regulaminem konkursu. Jest dostępny w pliku PDF na naszej stronie internetowej: www.bieszczadzka24.pl Warunkiem wzięcia udziału w konkursie – oprócz wykonania zdjęć – jest zgromadzenie wszystkich ośmiu kuponów konkursowych (oryginały, co 2 tygodnie 1 kupon drukowany w GB) i wysłanie ich na adres naszej redakcji. Szczegóły w regulaminie.

Zapraszamy do zabawy!

Redakcja

PO CO W TRAWIE PISZCZY

JAKUB DEMEL



Pisane na wodzie

Jak podzielić jezioro? Czy sznurkiem na korkowych pływakach jak tory w basenie? Właśnie trwa debata o cichej i głośnej bieszczadzkiej wodzie. Zaangażowane są sądy, władze wojewódzkie i powiatowe, a także, w sposób szczególnie aktywny, zorganizowane pod różnymi sztandarami środowiska reprezentujące tzw. czynnik społeczny, grupujący ludzi o podobnym podejściu do tematu, podobnych oczekiwaniach.

Opcje, jak to zwykle bywa, są trzy: pierwsza – cały akwen strefa ciszy, druga – pełne równouprawnienie motorowodniaków i właśnie trzecia – dzieli my jezioro. Dwie pierwsze bazują na tożsamy i w

dotadku prawidłowym rozumieniu słowa rekreacja. Stronictwu wioślarzy i żagli, podobnie jak miłośnikom hałasu i spalin trzeba dać wiarę, gdy mówią o rekreacji, bo przecież to już ich osobista sprawa, w jaki sposób swe rekreacyjne potrzeby realizują. I właśnie tu, gdy wydaje się, że konfrontacja dwóch różnych sposobów korzystania z prawa do wypoczynku jest nieunikniona, wchodzi do gry zwolennicy rozwiązania uważanego za kompromisowe.

Wiele było prób dzielenia dóbr niepodzielnych. Biblijny przypadek dotyczący decyzji króla Salomona, kiedy to jednoznaczna decyzja jednej z kobiet pozwoliła mu wskazać matkę dziecka, o które szedł spór, uważany jest za klasyczny. Rozwiązania kom-

promisowe wdrażano z miernym z reguły skutkiem. W przedostatniej dekadzie ubiegłego wieku łańcuch dzielił salę reprezentacyjnej restauracji w Birczy. Z jednej jego strony wolno było palić, z drugiej już nie. W ciśnieńskim „Zaciszu” salę konsumpcyjną dzieliła kotara. Tu rygory były większe: alkohol połączony z papierosem, z drugiej strony tkaniny był obiad, była kawa, ale już popielniczka czy kieliszek wina nie miały prawa się pojawić. Doświadczenie uczy, że co przyjęto na prawach kompromisu, dojdzie z czasem do formy wynaturzonej.

O podziale Bieszczadów mówiono od dawna. Właśnie mija półwiecze tamtych debat. Ówczesny „Spór o Bieszczady” piórem Witolda Michałowskiego i Janusza Rygielskiego lansował tezę podziału, nawet jeśli nie wprost, to wystarczająco wyraźnie. Zaczynamy być osobiste zainteresowania autorów opowiadających się za traperskim, plecakowo-

-namiotowym sposobem uprawiania turystyki i uznającym dzikie Bieszczady za doskonałe pole dla – posługując się terminologią z epoki – turystyki kwalifikowanej. W tym sensie Bieszczady, a wręcz Bieszczad, znaczący tyle, co dziewicze góry, w których potrzebne są jedynie mocne buty. Reszta regionu, czyli strefa wielkiej wody, kurortów Polańczyka i Soliny to według autorów teren już dla przyrody i prawdziwej przygody bezpowrotnie stracony, ale za to zdolny wchłonąć turystyczną stonkę spragnioną masowej wakacyjnej rozrywki. Wówczas opasywały nasz region dwie – wielka i mała – obwodnice. Dziś cywilizacja, choćby nie do końca rozumnie stosowana, rozwój sieci dróg i powszechna motoryzacja rozprawiły się z tamtym sposobem myślenia. Czy teraz, tytułem eksperymetu, podejmiemy próbę budowy dwóch różnych światów na jednej tafli wody?

Dzikię zwierzęta są już stałym elementem ustrzyckiego krajobrazu

Musimy nauczyć się żyć z jeleniami

Jelenie na dobre zadomowiły się w Ustrzykach Dolnych. Już nikogo nie dziwi widok byków, łan i cieląt spacerujących wzdłuż ulic miasta lub między blokami mieszkalnymi. Dlaczego tak się dzieje?

Część osób twierdzi, że zwierzęta płowa ucieka do miasta przed wilkami. W lasach otaczających miasto i nieco dalej żyją wilki, może być ich w trzech grupach rodzinnych około 25-30, ale ich presja nie jest tak wielka, by jelenie codziennie szukały bezpiecznej przystani wśród ludzi. Dlaczego więc od kilku lat, od wiosny do zimy, schodzą z lasu i pasą się w pobliżu domów bądź też bezpośrednio przy nich, nie wyłaczając trawników na podwórzach i zielonych enklaw między blokami?

Różne hipotezy

- Przyczyn może być kilka – twierdzi dr Bartosz Pirga z Bieszczadzkiego Parku Narodowego. – Oczywiście możemy założyć, że w jakiejś mierze zwierzęta płowa chroni się w mieście przed wilkami, ale nie można wykluczyć, że po prostu w dolinach jest



Ten jeleni przebiegł przez osiedlową ulicę tuż przed dwoma nadjeżdżającymi samochodami

FOT. KRZYSZTOF POTACZALA

cieplej, szybciej wiosną dostępna jest świeża trawa i inne rośliny.

Zdaniem zoologa, w niższych partiach Bieszczadów zagęszczenie dzikich zwierząt kopytnych jest większe niż w wyższych partiach gór. Bliskość kompleksów leśnych i miasta, w tym przypadku Ustrzyk, powoduje, że jelenie bytują bardzo blisko ludzi. – Nie mam dowodów naukowych, ale moż-

na wziąć pod uwagę, że w pewnym okresie na przykład łanie częściej schodzą w doliny, również te zabudowane, by zabezpieczyć siebie i potomstwo przed drapieżnikami – mówi dr Pirga. – Właśnie mamy okres, kiedy łanie rodzą młode. Ale przyczyn obecności w mieście może być więcej, nie zawsze wytłumaczalnych bez konkretnych badań. Zwierzęta bardzo

szybko adaptują się do określonych warunków. Jeśli wyczuwają, że nikt im nie robi krzywdy, nie płoszy, nie przeszkadza w żerowaniu – to akceptują taką sytuację i zaczynają być stałym elementem krajobrazu.

Miło popatrzeć, ale...

Jelenie mają w Ustrzykach Dolnych swoje ulubione miejsca. Zwykle można je spotkać – coraz częściej w godzinach południowych, a nie jak wcześniej o brzasku i zmierzchu – na zielonych skwerach między osiedlem Gombrowicza a ulicą Sobieskiego, przy ul. Kolejowej, w Parku pod Dębami, przy ulicach Pola, Nadgórnej, Fabrycznej, Naftowej, Bieszczadzkiej, Szkolnej, Sikorskiego. Oraz w rejonie kilku innych.

- Kiedyś wiedzieliśmy, że jesienią w czasie rykowiska jelenie wychodziły z lasu na łąki pod Gromadziem i Małym Królem, gdzie odgrywały swoje koncerty – mówią starsi mieszkańcy grodu nad Strwiążem. – Nigdy jednak nie było tak, że schodziły do miasta. Jeśli jakiś jeleni pojawił się na ulicach, to była sensacja. A teraz? Każdego dnia, o każdej porze. Można

powiedzieć, że jelenie to już mieszkańcy Ustrzyk. Miło popatrzeć, ale czy to nie skończy się kiedyś źle?

Na pewno z uwagi na obecność leśnych zwierząt w sąsiedztwie ulic i dróg kierowcy powinni być bardziej ostrożni. W mieście ruch kołowy jest dość intensywny, stąd nie można wykluczyć możliwości kolizji z udziałem jelenia. Jest to mniej prawdopodobne niż na przykład w ciągu drogi Ustrzyki Dolne – Krościenko, gdzie auta poruszają się szybciej, niemniej jednak i w granicach miasta warto zachować szczególną ostrożność. Kiedyś już doszło w centrum Ustrzyka do zderzenia samochodu osobowego z niemal dwustukilogramowym bykiem. Kierowca wyszedł z wypadku cało, podobnie zwierzę, ale warto mieć się na baczności i zaanodować nie dociskać pedału gazu.

Jak twierdzi dr Bartosz Birga, stała już bytność jeleni w Ustrzykach nie jest jednak sytuacją alarmującą. Z ich spacerów i żerowania w pobliżu ludzi nie wynika nic, co mogłoby niepokoić. Trzeba nawzajem się akceptować.

KP

Drogie pierwsze komunie drogich dzieci

Ciąg dalszy ze str. 1

Radość dziecka

Kto lepiej dobiera prezenty komunijne? Zdania są podzielone. W przypadku kobiet są one bardziej przemyślane i indywidualnie dopasowane (31 proc. badanych), ponieważ kobiety planują z wyprzedzeniem. W przypadku mężczyzn są one zazwyczaj droższe (26 proc.) i bardziej kreatywne.

Aby obdarować dziecko w dniu komunii świętej, to musimy szukać nowinek technologicznych i wydawać dużych sum pieniędzy. W końcu taki upominek nie powinien zdominować religijnego wydarzenia, lecz sprawić, że zostanie ono miło zapamiętane.

Zosia dostała w dniu pierwszej komunii „wypasiony” smartfon, który trudno zmieścić w dziecięcej dłoni, złote kolczyki, srebrną bransoletkę, kilka pomniejszych podarków rzeczowych oraz stosik kopert wypełnionych banknotami. Kiedy wraz z rodzicami przeliczyła w domu kwotę, uzbięła się prawie 8 tysięcy złotych. – Duża rodzina, dużo podarków – mówi mama Zosi i zapowiada, że pieniądze odda córce na przyszłość. – To taki fajny zaczątek, żeby się pomażały.

Kacper wiedział, że krewni obypią go prezentami, do biednych nie należą, ale i tak sprawili mu niespodziankę. Rower pierwsza klasa, smartwatch, na dodatek laptop, którym zastąpi ten już nieco wysłużony. No i „kasa” – ponad 6 tysięcy złotych



W Przewodniku Katolickim czytamy: (...) Nie rower, komputer czy zegarek tego dnia są najważniejsze. Prawdziwego, nieprzemijającego szczęścia, radości i pokoju serca nie dają: ładna sukienka, komunijny garnitur, wyszukane prezenty. To wszystko minie. Najważniejszy jest Chrystus w Komunii św. Wytłumaczcie to swoim pociechom (...), by nie czuli się pokrzywdzone, gdy potem w szkole będą uczestniczyć w „gieldzie” prezentów”.

FOT. PIXABAY

plus tysięcy euro. Do tego przyjęcie miało takie, że przypominało wesele. Mnóstwo ludzi, elegancka sala, stoły zastawione smakoświadcami.

Jego koledzy i koleżanki też mieli wystawne przyjęcia.

Dzisiaj to standard. Dania mięsne i wegetariańskie (wśród gości są przecież też jarosze), przystawki, owoce morza, wszelakie słodkości, lody w pucharach. – Człowiek zawsze się wykosztuje, bo chce wszystkich zadowolić, ale i tak dużo jedzenia zostaje – mówią rodzice dzieci komunijnych. – Kto jest w stanie nieustannie jeść? Przyjęcia komunijne mają to do siebie, że są zwykle nudnawe, ale swoje trzeba odsiedzieć. A potem nierzadko ratować się tabletkami, żeby ulżyć przeciążonemu żołądkowi.

Każdy miał marzenia

Przeprowadziliśmy sondę. Zapytaliśmy wybranych losowo rodziców (nie bez oporów z naszej strony), ile ich

pociechy zebrały pieniędzy. W zależności od liczby gości było to od 3 do nawet 10 tysięcy złotych. – Dzisiaj chrzestnemu czy chrzestnej nie wypada włożyć do koperty 500 złotych, tylko co najmniej drugie tyle – mówi ojciec chrzestny dziewczynki, która przed kilkoma tygodniami przystąpiła do pierwszej komunii. – Ale i mniej zobowiązani krewni potrafią być hojni. W końcu komunie to wielkie wydarzenie. Każdy z nas też kiedyś marzył o tym, aby dostać fajny prezent.

Kiedyś dziecko skakało do sufitu, gdy na komunię obdarowano go piłką, rakietami do tenisa, tyżkami (nieważne, że przeleżały pół roku do zimy) czy nakręcanym zegarkiem ze wskazówkami, w dodatku na zwykłym pasku. Współcześnie wymagania i oczekiwania są zgoła inne, bo świat pędzi do przodu w niewyobraźnym tempie. Za dekadę lub dwie być może będziemy się uśmiechać na myśl o dzisiejszych prezentach.

MPR, KP

W przyszłość z nowoczesną technologią

Gmina Ustrzyki Dolne realizuje ciekawą inicjatywę rozwojową. Tym razem to pilotażowy projekt pod nazwą GovTech Polska.

Celem działania jest angażowanie spółek technologicznych do współpracy z instytucjami publicznymi i tworzenie okazji do czynności z zakresu nowoczesnych systemów. Udział w projekcie daje wiedzę na temat zarządzania projektami na rynku nowych technologii i procesu wprowadzania innowacji.

Do projektu przystąpiło 36 samorządów terytorialnych z całej Polski; 12 z nich dostało się do kolejnego etapu, w tym ustrzycki. – Obecnie prowadzone są wstępne konsultacje rynkowe, mające na celu określenie wymagań infrastruktury technicznej i zapotrzebowania przedmiotowego dotyczącego aplikacji – Kreatora Pobytu, którą chcemy wdrożyć dla rozwoju m.in. turystyki w naszej gminie – informuje burmistrz Bartosz Romowicz.

GovTech Polska wspomaga kształ-

towanie kompetencji pracowników poprzez dostarczaną przez ekspertów wiedzę. Wspólnie pracują w ramach konsultacji technicznych oraz w oparciu o procedury konkursowe znowelizowanej ustawy prawa zamówień publicznych. – Będziemy tworzyć tzw. mapowanie zapotrzebowania na innowacje, możemy również budować dialog techniczny, dzięki któremu skorzystamy ze wsparcia przy wstępnych konsultacjach rynkowych. Chcemy powołać prężnie działający zespół, zajmujący się wprowadzaniem innowacji w naszej gminie – wyjaśnia burmistrz.

Samorząd Ustrzyk zyska wsparcie merytoryczne i mentorskie z zakresu nowych technologii. Posłużą to m.in. realizowaniu dużych projektów wspierających rozwój gminy (np. dotyczący komunikacji elektromobilnej).

Szczegółowy opis na stronie internetowej: <https://konkursy.govtech.gov.pl/start/postepowanie/181>, <https://hugheingh.vc/govtech>

MPR

REKLAMA

Za darmo, z sercem i pasją...

Pomaga chorym Marek Schmidt, praktykuje uzdrowienie duchowe ponad 18 lat. Od maja przyjmuje w Ustrzykach Górnych 11. Zapisy są bezpłatne, pod numerem telefonu:

+48 507 749 876

Marek przyjmował w wielu miastach Polski. Osoby, które go odwiedzały mówią, że czuły siłą, uzdrawiającą energię. Poprawa nastąpiła w przypadkach m.in.: chorób nowotworowych, depresji, uzależnień.

www.marekschmidt.eu

SAMORZĄD

Po zapaści odradza się komunikacja publiczna w Bieszczadach

Coraz więcej autobusów na lokalnych trasach

Bieszczadzki Związek Komunikacyjny uruchomił nowe kursy autobusowe. Siatka połączeń jest bardziej gęsta, dostosowana do potrzeb osób pracujących, emerytów i turystów. Wkrótce ma być jeszcze lepiej.

Nowe połączenia autobusowe działają już na odcinku Ustrzyki Dolne – Olszanica – Lesko – Zagórz – Zahutyń, gdzie kursy wykonuje PKS Jarosław. Na trasie Zahutyń – Sanok PKS Jarosław będzie dalej wykonywał regularne kursy. Pojawiają się nowe połączenia zarówno w dni robocze, jak i dni wolne.

Spod połonin w różne strony

W dni wolne od pracy kursują dwie pary autobusów przyspieszonych Sanok – Zahutyń – Zagórz – Lesko – Olszanica – Ustrzyki Dolne – Czarna – Lutówka – Bieszczadzki Park Narodowy. Z Sanoka do Wołosatego powstało nowe połączenie o 7:00. Na miejsce dotrze o 9:05. O 12:30 pojedziemy z Sanoka do Ustrzyk Górnych, gdzie będziemy o 14:28. W drugą stronę z Wołosatego do Sanoka autobus wystartuje o 9:12, a z Ustrzyk Górnych do Sanoka o 14:29. W Sanoku znajdziemy dobrze dopasowane połączenia do Rzeszowa i odwrotnie.

Dzięki temu ruchowi, aż sześć gmin

zyska nowe połączenia z Sanokiem w dni wolne od pracy. Z Bieszczadów w kierunku Sanoka można pojechać zarówno przed południem, jak i po południu: Lutówka (9:45, 14:55), Czarna (9:57, 15:07), Ustrzyki Dolne (10:20, 15:30), Olszanica (10:39, 15:50), Lesko (10:55, 16:06), Zagórz (11:04, 16:15 – obok dworca kolejowego).

Dodatkowo w weekend Bożego Ciała (16, 18-19 czerwca) pojedzie autobus z Sanoka (9:00) do Wołosatego (11:05); powrót zaplanowany jest na 13:02. Co ważne, turyści chcący kontynuować podróż w stronę Krakowa, zyskają taką możliwość korzystając z pociągu dostosowanego godzinowo do przygotowanych połączeń autobusowych.

Podwójne finansowanie

W dni robocze pojawiają się aż trzy pary nowych autobusów na odcinku Ustrzyki Dolne – Sanok. Połączenia z Ustrzyk Dolnych do Zahutyń w drodze do i z Sanoka są współfinansowane ze środków Funduszu Rozwoju Przewozów Autobusowych (FRPA) oraz przez członków Bieszczadzkiego Związku Komunikacyjnego.

Z Sanoka pojedzie nowy autobus o 8:00, 10:20 i 12:30. Opóźnieniu ulegnie odjazd z Sanoka z 13:15; teraz będzie kursował o 13:30. Powstanie również połączenie z Sanoka o 16:30



Dworzec autobusowy w Ustrzykach Dolnych. FOT. KRZYSZTOF POTACZAŁA

do Leska (rynek). W dni robocze możemy pojechać z Sanoka do Wołosatego o 7:00; na miejscu będziemy o 9:18. Kolejny nowy autobus o 10:20 pojedzie do Ustrzyk Górnych. Autobus z Sanoka o 15:10 ma wydłużoną trasę, także do Ustrzyk Górnych.

Z Ustrzyk Dolnych do Sanoka nowe autobusy pojadą o 9:50, 12:30 i 19:00. Zaplanowano także kursy z Leska do Sanoka o 16:56. Wcześniejszy poranny autobus z Ustrzyk Dolnych do Sanoka zostanie przywrócony i przyspieszony. Wyruszymy nim o 6:00 i na miejscu w Sanoku będziemy o 6:59. Drugi autobus (dotąd o 7:10) zostanie przyspieszony o 10

minut; rozpocznie jazdę w Lutowskach (6:20). Z Ustrzyk Dolnych odjedzie do Sanoka o 7:00, gdzie dotrze planowo na godzinę 7:57.

Bezpośredni autobus z Wołosatego do Sanoka wyruszy o 7:05 i pojedzie przez Ustrzyki Dolne (odjazd 8:29), Olszanicę (8:53), Lesko (9:10 – dworzec). Kolejny bezpośredni do Sanoka wyjedzie z Wołosatego o 9:53 (11:05 w Ustrzykach Dolnych).

Po południu kursy rozpoczną następujące autobusy: o 13:22 z Ustrzyk Górnych do Sanoka (z Ustrzyk Dolnych o 14:35), a o 14:15 z Wołosatego, jadąc bezpośrednio do Sanoka. Z Ustrzyk Dolnych odjeżdżający do tej

pory autobus o 15:10 teraz będzie zaczynał kurs o 15:30.

Ostatni autobus po zmianach z Ustrzyk Dolnych pojedzie do Sanoka o 19:00, przez Olszanicę (odjazd 19:24) oraz Lesko (odjazd 19:40 z dworca).

Od 2 maja przez Chwaniów jeździ autobus, który na godzinę 8:00 dojeżdża do Ustrzyk Dolnych. Kurs popołudniowy z Ustrzyk Dolnych o godz. 15:30.

Będą następne połączenia

Kolejne zmiany na liniach, obsługiwanych przez PKS Jarosław będą wprowadzone od 1 lipca. Wtedy w gminie Ustrzyki Dolne mają się pojawić nowe kursy po godzinie 19:00. Poprawie ulegną również połączenia do pracy na 7:00 na różnych trasach.

Bieszczadzki Związek Komunikacyjny utworzono w 2021 roku. Zrzesza 10 gmin (Baligród, Cisna, Czarna, Komańcza, Lesko, Lutówka, Olszanica, Solina, Ustrzyki Dolne, Zagórz) i dwa powiaty (bieszczadzki i leski). Kolejne linie użyteczności publicznej, organizowane przez BZK w ramach związku, będą sukcesywnie uruchamiane w następnych miesiącach. Autobusy częściej będą kursować między innymi do Baligródu, Cisnej i Soliny.

Szczegółowy rozkład jazdy jest dostępny na stronie: rozklady.com.pl MPR

Kolejne pieniądze na inwestycje

Niemal pół miliona złotych otrzymała gmina Ustrzyki Dolne na planowane inwestycje. Pieniądze przekazał Urząd Marszałkowski Województwa Podkarpackiego.

Szczegółowo to 474 928 zł, z czego 110 000 zł zostanie wykorzystane na modernizację bądź budowę dróg, a 364 928 zł na budowę i renowację zbiorników wodnych służących małej retencji w Łobozewie.

- To niezwykle ważne fundusze, które przeznaczymy na rozwój naszej okolicy, a tym samym pomoc

lokalnej społeczności – informuje burmistrz Bartosz Romowicz. – Bardzo się cieszę z kolejnego otrzymanego dofinansowania. Wierzę, że podejmowane działania poprawią jakość życia naszych mieszkańców. Nieustannie wnioskujemy o nowe środki, przygotowując projekty z różnych źródeł finansowania, zarówno na poziomie krajowym, jak i międzynarodowym. Mam nadzieję, że wkrótce podzielę się kolejnymi dobrymi wiadomościami w tym zakresie.

MPR

REKLAMA



WWW.EDENRAJSKIESPA.PL



**WOLNE TERMINY
NA WESELA I KOMUNIE 2022**
Restauracja Rajska Smaki
Rajska 26, tel. 699 671 702

Setki młodych czytelników i widzów wzięły udział w Tygodniu Bibliotek, zorganizowanym w dniach 9-15 maja przez Powiatową i Miejską Bibliotekę Publiczną w Ustrzykach Dolnych.

Zajęcia rozpoczęto w Szkole Podstawowej w Wojtkowej. To tam zawiązała biblioteka mobilna.

Zajęcia i zabawy dla grupy z zerówki rozpoczęły się w pobliskiej filii PiMBP, przygotowane i poprowadzone przez Bogusławę Czaję. Były pacyнки, kolorowanki tematyczne i ruch na świeżym powietrzu.

Zlekkim opóźnieniem, spowodowanym utrudnieniami na drodze, rozpoczęło się przedstawienie Teatru Lalek Bajka pt. „Wyjątkowy Gość”. Dzieci z klas o-III z uwagą obejrzały spektakl, chętnie biorąc udział w dyskusji na jego temat. Dużą frajdą była możliwość potrzymania i obejrzenia kukiełek po zakończeniu przedstawienia.

Starsze klasy wzięły udział w warsztatach dotyczących nietypowych zadań logicznych. Każdy miał okazję zmierzyć się z różnego typu łamigłówkami. Najważniejszą okazała się wytrwałość i pomysłowość. Uczestnicy wykonali też własne łamigłówki z kart (wizytówek bibliobusu), sznurka i koralików, które mogli zabrać na pamiątkę.

Tego samego dnia dla dzieci – głównie uczestników projektu Mała Książka – Wielki Człowiek, które przybyły licznie do PiMBP w Ustrzykach Dolnych, odbyło się przedstawienie pn. „Magiczne słowo”, z pouczającym

Dni z książką, teatrem i filmem

przeistawieniem wychowawczym: słowa proszę, dziękuję i przepraszam są wstępem do budowania właściwych relacji osobowych. Spektakl przygotowali i wystawili aktorzy Teatru Lalek „Bajka”; po jego zakończeniu rozmawiali z dziećmi, a te z kolei mogły zadawać pytania i wziąć do ręki kukiełkowych bohaterów.

Dla starszych odbiorców zaśpiewał Kuba Michalski. W koncercie gitarowym artysta, z zawodu matematyk, z zamyślenia muzyk, zaśpiewał w swojej aranżacji m.in. ballady Adama Mickiewicza, utwory Adama Asnyka, Bolesława Leśmiana, Leonarda Cohena oraz wciągnął wszystkich

do śpiewania sławnej „Lokomotywy” Juliana Tuwima.

13 maja w PiMBP zorganizowano mały maraton filmowy. „Jako w niebie, tak i w Komańczy” (fabularyzowany film o internowaniu prymasa Stefana Wyszyńskiego w tej miejscowości). Drugą propozycją była „Wolność słowa” (problem trudnej, ale i „pokaleczonej” przez życie młodzieży). Późnym wieczorem pokazano film „Na ringu z rodziną”. Na kanwie wrestlingu (rodzaj rozrywki sportowej z elementami walki) została ukazana determinacja w podążaniu za swoimi marzeniami.

MPR



Dzieci przed bibliobusem w Wojtkowej. FOT. ARCHIWUM PiMBP W USTRZYKACH DOLNYCH

BIZNES I STYL

MONIKA STALEWSKA

Przejeżdżając przez Stańkową, dostrzegłam coś intrygującego. Południowy stok był cały porośnięty winoroślą. Uszczyplęłam się w myślach, sprawdzając, czy aby przypadkiem nie przeniosłam się do Toskanii. A potem zapukałam do domu położonego pod owocowymi pnąciami.

Drzwi otworzyła sympatyczna para. Już w środku Sabina i Marek opowiedzieli mi swoją historię. Zakochani w sobie i winie właściciele winnicy poznali się wiele lat temu w Niemczech. W winnicy, w której pracowali. Jakis czas nie zwracali na siebie uwagi, zwłaszcza że Sabina przyjeżdżała tylko w przerwach studenckich.

Byli sobie przeznaczeni

Niemiecka winnica jawi się w tej opowieści jako wielkie miejsce, gdzie dwie idealnie pasujące do siebie osoby nie mogły się spotkać. Jedno pytanie właściciela zmieniło bieg wydarzeń. – Kto będzie prowadził ciągnik? – Zgłosiła się Sabina. W pojeździe siedział już Marek. Na tak małej przestrzeni musieli ze sobą porozmawiać. – Sabina uwielbia gadać – mówi z uśmiechem Marek. – Czasami, kiedy zagada się z gośćmi, zdążę sam wszystko zrobić na naszej działce...

Sabina, żeby nie być mu dłużna, opowiedziała o pierwszym wrażeniu. – Marek był łobuzem, który ciągle mi dokuczał. I tak jest do dzisiaj.

To niespodziewane spotkanie w traktorze stało się pierwszym randką. Jakis czas później Marek odwiedził Sabinę w jej rodzinnej Stańkowej. Nie chciał spać w domu. Rozbił namiot, żeby być bliżej natury. Dziewczyna go odwiedzała i razem chodzili na długie wycieczki po górach. Nie pamiętają, czy już wtedy chcieli być ze sobą na zawsze. Po prostu czuli, że lubią swoje towarzystwo, podobają im się podobne rzeczy; że mogą rozmawiać ze sobą do białego rana i podobnie spędzać wolne chwile.

Z początku nie było im łatwo się spotykać, bo dzieliło ich wiele kilometrów. Ona na studiach w Jarosławiu, później w Krakowie, on nadal często w Niemczech. Na szczęście nic ich nie powstrzymało – ani odległość, ani czas. Trudność pojawiła się w momencie planowania wspólnego życia. Sabina wyobrażała sobie ich przyszłość w mieście. Liczyła, że po studiach zostanie w Krakowie, znajdzie pracę, dojedzie do niej Marek i będą wieść wielkomiejskie życie. Na szczęście przyszły mąż zdążył w porę zaszczepić w niej pasję do wina. – Winnica to właściwie był pomysł Marka, jego wielkie marzenie. Udało mu się sprawić, że i ja je pokochałam.

Trudna sztuka winiarstwa

Po dziesiątkach rozmów i licznych kompromisach postanowili zamieszkać w Stańkowej i zająć się produkcją lokalnego wina. Ziemię, na której teraz rosną winogrona, dostali w prezencie ślubnym. Tym szalonym pomysłem chcieli pokazać, że w Bieszczadach też można prowadzić winnicę i tworzyć tradycję picia wina. Po skończeniu szkoły winiarskiej w Jaśle Sabina uczy też, jak pić wino: co jest najważniejsze, na co należy zwrócić uwagę przy próbowaniu, smakowaniu i oglądaniu koloru trunku. Wraz z koleżanką stworzyły Fundację Na Rzecz Wspierania Muzyki i Rozwoju Winiarstwa im. Ignacego Jana Paderewskiego. Ideą Fundacji jest propagowanie tradycji muzycznych, wspieranie rozwoju winiarstwa oraz związanego z tym dziedzictwa kulturowego, prowadzenie działalności koncertowej, oświatowej i edukacyjnej dotyczącej kultury konsumpcji wina, historii winiarstwa i muzyki w Polsce i na świecie. Nic przecież nie łączy się z winem tak jak muzyka i śpiew.



Sabina i Marek Ryglowie w swojej winnicy w Stańkowej. FOT. MONIKA STALEWSKA

W Stańkowej prawie jak w Toskanii

Winiarstwo nie jest łatwym „kawalkiem chleba”. Trzeba pamiętać, że w Europie winnice były dziedziczone. Syn czy córka dostawali winorośl w spadku. Tworzenie wszystkiego od początku to trudne wyzwanie. Ziemia w Bieszczadach jest zupełnie inna niż w niemieckiej winnicy, którą znali. Muszą co jakiś czas badać glebę. Istniało też duże ryzyko, że korzenie nie będą rosły w głąb ziemi, a tylko po jej powierzchni. Trzeba pamiętać o podcinaniu korzonków, żeby szły w dół. Na początku robili wszystko ręcznie, później udało im się kupić maszyny do podcinania liści. Nabywali stary sprzęt, który później modernizowali. Pomagał im w tym sąsiad złota rączka. Ciągnik, którego używają w pracy, dostosowany jest nie tylko do dużego nachylenia, ale też do przechyłów w prawą i lewą stronę. Dużym problemem bywają sarny, które lubią się w liściach, i ptaki, którym z kolei smakują owoce. Dlatego winnicę trzeba było ogrodzić.

Dobre miejsce do życia

Żeby zdecydować się na prowadzenie winnicy, trzeba bardzo kochać taką pracę. O rodzajach

winorośli opowiadają z zachwytem, ale też z właściwym sobie poczuciem humoru: – No, dalej, Sabinka, jakie mamy rodzaje? Wymieniaj – podpuszcza żonę Marek. – Solaris, Seyval Blanc, Aurora, Saint Pepin, Leon Millot, Marechal Foch i... Marquette. Ha! Widzisz, znam je wszystkie!

Owoce winogron wyhodowanych w Stańkowej to duma właścicieli. Dokładnie wiedzą, gdzie rosną konkretne gatunki. Mają też spo-

Oprócz zbierania winogron ludzie również radośnie biesiadują. Przyjeżdżają do Stańkowej zewsząd specjalnie na winobranie

ządzoną mapę. Nie tyle dla siebie, co dla gości, którzy pomagają im przy winobraniach. Ważne, żeby nie pomieszać zebranych owoców.

Mocno się utożsamiają z Bieszczadami. Mieszkają tu z przekonania, pracują, chodzą po górach. Kiedy penetrują lasy, czują się zrelaksowani, mają czas pomyśleć, uspokoić myśli. Lubią obserwować drapieżne ptaki i słuchać w lesie odgłosów pękających gałęzi. Na wsi nie dzieje się zbyt wiele, ale to właśnie jest piękne. Nie ma tu szumu samochodów i natłoku sklepów. To idealne miejsce dla kogoś, kto potrzebuje ciszy. Często spędzają czas z rodziną, są też silnie związani ze społecznością Stańkowej. Sabina należy do Koła Gospodyń Wiejskich, w którym udziela się wraz ze swoją mamą. Wytwarzane tradycyjną metodą sery do degustacji wina kupują u sąsiadki. Dzięki temu, że powstała winnica, bieszczadzkie domy wczasowe, pensjonaty i gospodarstwa agroturystyczne mają więcej gości, bo przyjeżdżają nie tylko zwiedzać zabytki i przemierzać szlaki, ale też posmakować tutejszego wina.

W atmosferze fety i hulanki

Mogliby zostać w Niemczech. Znają sposoby uprawy winorośli na tamtych terenach. Przećwińności ich jednak nie powstrzymały, gdyż chcieli spełniać marzenia w Bieszczadach. Dzięki odważnej decyzji w małej wsi w gminie Ustrzyki Dolne powstało siedem win: trzy białe, trzy czerwone i jedno musujące. Nazwa, czyli Stańkowa, to hołd dla miejsca, w której rozkręcili biznes. W imionach win też można dopatrywać się nazw związanych z Bieszczadami. Na przykład Szepi jest białym winem, które swą nazwę dostało, choć nie w pełni, po największym wodosпадzie w Bieszczadach. Cymmes natomiast to bieszczadzki kryształ górski, szlachetny materiał wydobywany w kamieniołomach w Rabem koło Baligródu. O całą resztę można zapytać właścicieli. Chętnie podejmują gości, przygotowują degustacje i opowiadają o winie.

Sabina i Marek przyjmują wiele grup i z wszystkimi dobrze się bawią. Chętni próbują też pracy przy winoroślach. Podczas winobrania prócz oczywistych czynności, jak zbieranie owoców, uczestnicy również biesiadują. Wydarzeniu towarzyszy atmosfera fety i hulanki. Można popić, pojeść i poznać ciekawych ludzi. Co roku podczas zbioru w winnicy zjawia się kilkanaście osób, żeby wspólnie spędzić czas. Potem następuje etap produkcji, a ta odbywa się w odnowionym i dostosowanym do wytwarzania wina sklepie w Stańkowej. Przywołuje to skojarzenia z PRL-em i jest tak samo urokliwe jak górskie zbocze porośnięte winogronami.



W winobranii biorą udział także osoby spoza okolicy. FOT. ARCHIWUM WINNICY STAŃKOWA

WARTO ZOBACZYĆ

Myszy idą do Nieba

27, 28 i 29 MAJA
GODZ. 17:00 | BILET 18 Zł
komedia / animacja | 11 lat i więcej | czas 1 godz. 30 min



Franciszek Adamczyk w drodze na połoninę

Chodzi w góry cieszyć się życiem

PORTRETY

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Jeśli ktoś spotka na bieszczadzkim szlaku piechura z czerwonym plecakiem i naszytym na nim emblematem GPR, ubranego w starym turystycznym stylu – niemal na pewno będzie to Franciszek Adamczyk. Mówi się o nim: człowiek legenda.

Rozpoznawany także w Beskidzie Niskim. To tam zaczynał przygodę z górami, gdy w 1969 roku przybył na staż pracowniczy do zakładów drzewnych w Rzepedzi. Z Korzymba pod Słupskiem, z terenów niemal całkiem płaskich, gdzie najwyższe wzniesienie – jak pamięta pan Franciszek – ma 127 metrów. Rozciągały się stamtąd dalekie widoki na wzgórza morenowe.

– Nie sądziłem, że zaplanowany na rok pobyt w Rzepedzi zaważy na całej mojej przyszłości – wspomina. – Kiedy pięć lat później nadal tu tkwiłem, już czułem, że chyba zostanę, choć akurat wtedy, dosyć późno, wzięto mnie do wojska. Po spełnieniu obowiązku wobec ojczyzny stanąłem na dworcu kolejowym w Opolu i zdecydowałem, że wracam na południowy wschód. Ciągnęło mnie tam bardziej niż na północ.

Lekarstwo na nudę

Nic nie dzieje się przypadkiem – mawiają doświadczeni ludzie. Bo skąd wzięłaby się ta miłość do gór, gdyby już w dzieciństwie nie marzył o ich zdobywaniu? – Wyobrażałem sobie, że wchodzę na nie i oglądam świat z innej perspektywy – opowiada. – Brałem z domu pajdę chleba, coś do picia i szedłem sobie „w góry”. Oglądałem okolicę przez pożyczoną od znajomego lornetkę. Te wycieczki były pokłosiem poznania kilku filmów krajoznawczych w lokalnym kinie. Zachwyciły mnie, ale jeszcze większe wrażenie zrobiły na mnie „Śniegi w żałobie”, przygodowy obraz o tragicznych wydarzeniach w Alpach Szwajcarskich. Oprócz tego namiętnie oglądałem westerny. Ale nie – jak większość chłopców – z powodu pojedynków strzeleckich kowbojów i Indian, lecz z racji niezwyklej plenerów krajoznawczych Ameryki. Wkrótce na szkolne i prywatne wycieczki pakowałem prowiant i mapę już do plecaka, jak prawdziwy turysta. Miałem wtedy dwanaście wiosen.

Kilkadziesiąt lat później z dużo większym plecakiem zaczął przemierzać pasmo połonin i przyległe zalesione wzniesienia. W tym czasie w Bieszczadach istniało niewiele dobrze wyznakowanych szlaków, jednak turystyka zyskiwała na popularności. To dlatego w 1974 roku wraz z kilkunastoma kolegami zarejestrował w Rzepedzi przyzakładowe koło PTTK. – Chciałem rozruszać działalność krajoznawczą, zachęcić ludzi do tego, by po pracy lub w wolne dni poznawali teren pod względem przyrodniczo-historycznym.

Ale to też nie stało się od razu. Musiał przebić się przez mur niezrozumienia, czasami nawet niechęci. Był jednak wytrwały; rozumiał, że turystyka jest doskonałym antidotum na smutek, samotność i nudę.

Na wspomnienie przeszłości pan Franciszek uśmiecha się rzewnie i opowiada. – W hotelu robotniczym w Rzepedzi był klub „Ruch”. Prowadziła go pewna elegancka pani, dużo starsza ode mnie, dwudziesto-dwuletniego młodzieńca. Przesiadywałem w klubie, bo wieczorami nie miałem co robić, a tam mogłem posłuchać granych z adapteru „Bambino” płyt z największymi przebojami. Popijałem oranżadę, delectowałem się muzyką i wpatrywałem nieustannie w niebieski krzyż widniejący na swetrze tejże pani. Aż kiedyś to zauważyła, choć zinterpretowała tak, że nie patrzę na krzyż, tylko na jej piersi... Kiedy wyjaśniłem, że intryguje mnie ten niebieski symbol, wyjaśniła mi, że to krzyż goprowski. Jej życiowy partner był goprowcem, ale to ona opowiedziała mi o niełatwej służbie, jaką pełnili ratownicy. Kilka dni później napisałem podanie o przyjęcie mnie w poczet kandydatów do Grupy Bieszczadzkiej GPR. Wtedy już trochę lepiej znałem Bieszczady, bo dość regularnie chodziłem na wycieczki. Pierwszą zdobytą przeze mnie górą była Sulica (759 m n.p.m.), wtedy z panoramą na inne wzniesienia, dzisiaj mocno porośniętą lasem. Za towarzystwo miałem tylko plecak, mapę, kompas i stary przewodnik autorstwa Władysława Krygowskiego.

W poszukiwaniu zaginionych kobiet

W 1977 roku złożył przysięgę ratownika górskiego i od tej pory prowadził – jakkolwiek to zabrzmie – podwójne życie. Dzielił je między pracę w przedsiębiorstwie a społeczne dyżury w goprówkach. Rychło wyruszył też na pierwsze akcje ratunkowe. W ciągu kilku dekad było ich wiele, dziennych i nocnych, letnich i zimowych, ale opowiedzmy o tej, która podczas naszego spotkania pierwsza przyszła na myśl panu Franciszkowi.

Przy kominie rozebranej
baczówki w Dydiowej



Przy źródle Sanu na granicy polsko-ukraińskiej



Zimą w paśmie Żukowa z Krzysztofem Stachowiczem – kolegą przewodnikiem z ustrzyckiego oddziału PTTK



Podczas prac konserwatorskich na szlaku

– Zimą w górach zgubiły się dwie turystki ze Śląska. Nie były obyte z terenem. Wyszły z Jaworca na Smerek, w głębokim śniegu, przy silnym mrozie, a stamtąd podążyły w zupełnie innym kierunku niż planowały. W ten sposób, zamiast do najbliższej osady, weszły w zalesione tereny Stołów. Szukaliśmy ich całą noc. Nie było wtedy jeszcze telefonów komórkowych, GPS-ów, jednakże kobiety miały na tyle rozsądku, że przed wyjściem na trasę zostawiły w schronisku swoje dowody osobiste i powiedziały, dokąd się udają. Kiedy podczas wędrówki zorientowały się, że zabłądziły, nie wpadły w panikę. Zrozumiwały, że ktoś będzie ich szukał, dlatego co pewien odcinek rysowały na śniegu strzałki, pisały godzinę i swoje imiona. Te informacje pozwoliły prowadzonej przeze mnie grupie poszukiwawczej dotrzeć o świcie do wycieczniczych kobiet. Sprowadziliśmy je do Hulskiego. Zdrowe, choć z ciężkimi przeżyciami, wróciły do domu.

Adamczyk miał wtedy z sobą, jak przystało na ratownika, apteczkę wyposażoną w niezbędne leki, bandaże, opaski, koc termiczny. To był jego obowiązek, ale nawet w czasie prywatnych wypraw władał czerwone pudełko do plecaka. Pakunek zajmuje nieco miejsca, lecz ważniejsze jest poczucie bezpieczeństwa. – Zawsze nosiłem apteczkę i nigdy nic złego mi się nie stało. Ale gdy jeden jedyny raz przez pośpiech jej nie wziąłem, uległem wypadkowi i ledwo przeżyłem.

Było to nad Chrewnem, gdy montował na drzewie oznakowanie kolejnego szlaku pieszego. – W pewnym momencie straciłem równowagę i spadłem. Pokaleczyłem ręce tak dotkliwie, że krew ciekła ciurkiem. Nie mogłem jej w żaden sposób zatamować, bo nie miałem nawet małego bandaża. Musiałem podrzeć koszulę flanelową na paski i z niej zrobić opatrunki. Szmatki uratowały mi życie, apteczka zaś stała się „taliżmanem”, który chroni mnie przed wypadkami i służy potrzebującym pomocy turystom.

Śmierć przeszła obok

Przewodnikiem PTTK został w 1987 roku, choć mógł dużo wcześniej. Jakoś tak wyszło. Mimo tego jest jednym z najbardziej „utytułowanych” i rozpoznawanych przewodników turystycznych w regionie. Jego znajomość topografii Bieszczadów, szeregu szczytów i autentyczne umiłowanie gór powodują, że przyjeźdźni nie tylko zdobywają wymarzone szczyty, ale też uczestniczą w niezwykłej wyprawie po rubieżach Polski. Adamczyk nie kreuje się na największego znawcę, nie ma w nim cienia zarozumiałości, jest za to szacunek dla gór. Bo one potrafią zaskoczyć, sponiewierać i poranić. Albo zabrać życie.

Nie raz i nie dwa był świadkiem wypadków, sprowadzał z połonin turystów w hipotermii, widział jak z ludzi uchodzi życie. Na przykład wtedy, gdy zimą na Połoninie Caryńskiej, przy minus 28 stopniach, zaczął zamarzać jego kolega. – Byliśmy na wycieczce w kilka osób, wszyscy szło dobrze, aż w pewnym momencie, nagle i niespodziewanie, Jurek zrobił się biały, jakby wypłynęła z niego cała krew. Kiedy z trudem re-

agował na sygnali z naszej strony, sprowadziliśmy go w nieckę i tam, pod zrobionym naprędce prowizorycznym namiotem z ubrań, rozpaliliśmy małą butlę z gazem. Powoli nagrzewaliśmy jego dłonie i przedramiona i po pewnym czasie życie do Jurka wróciło. Ale był na granicy.

Groźny jest mróz, nie mniej groźna – burza. Kiedy zaskoczy człowieka na otwartej przestrzeni, trzeba jak najprędzej znaleźć schronienie. Czasami może nim być zagłębienie w ziemi. Takie pan Franciszek znalazł, gdy burza dopadła go pod Otrytem. – Pioruny biły jak oszalałe. W pewnej chwili jeden strzelił tak blisko, że poczułem swąd. Zaraz potem drugi raz, też blisko. Dobiegłem do płytkiego rowu i płasko w nim zaległem. To było jedyne miejsce, które mogło mnie ochronić, ale gdy rozszalała się ulewa, rów momentalnie zaczął wypełniać się wodą. Jak wiadomo woda przewodzi prąd, więc musiałem stamtąd uciekać. Udało mi się, ale kiedyś nie udało się pewnemu turystyce, którego piorun zabił na połoninie. Takich przypadków w Bieszczadach było więcej. Sam ponownie uniknąłem nieszczęścia, gdy na Haliczu piorun rąbnął nie więcej jak trzydzieści metrów ode mnie. Wieszale wtedy drogowskazy na triangulu. Usłyszałem syk i odgłos przypominający trzask łamanej suchej gałęzi.

**Franciszek Adamczyk
nie kreuje się na największego znawcę,
nie ma w nim cienia zarozumiałości, jest
za to szacunek dla gór.
One potrafią zaskoczyć,
sponiewierać, poranić.
Albo nawet zabrać życie**

Nie patrzac na lata

Kiedyś, mówi, ludzie częściej chodzili na rajdy, poznawali góry dłużej i dogłębniej, przeżywały przygodę. Współcześnie wielu chce zaliczyć szybko ten czy inny szczyt, co jednak zubaża ich wędrowanie i doświadczanie wyprawy. Może to wynikać z faktu, że za Polski Ludowej przy zakładach pracy istniały koła PTTK lub inne o profilu turystycznym. Ludzie angażowali się w działalność, razem wychodzili na szlaki, zwiedzali ten czy inny rejon. – Tak było za mojej młodości w Rzepedzi i w Przedsiębiorstwie Przemysłu Drzewnego „Ustianowa” w Ustrzykach Dolnych, gdzie pracowałem od 1981 roku. Tutaj istniała duża grupa osób zafascynowanych zdobywaniem górskich szczytów, skupiona w Kole Zakładowym PTTK i Klubie Turystycznym „Tuptuś”.

Przeprowadził szlakami i bezdrożami szeregi grup z całej Polski i wciąż – mimo siedemdziesiątki w kalendarzu – pozostaje aktywny. Niektórzy turyści dali mu się we znaki, bo byli niezdyscyplinowani i lekceważyli porządek rzeczy, innych zachowuje ciepło w pamięci. – Spotykałem w Bieszczadach rozmaitych piechurów, ale w 1984 roku stanął na mojej wycieczkowej drodze człowiek urodzony jeszcze w XIX wieku, dokładnie w 1897 roku. Przyjechał z wycieczką zakładową z Warszawy. Obraliśmy kierunek na Połoninę Caryńską. Od początku dużo mówił, rządził się i doszło do tego, że chciał przewodzić grupie. Powiedziałem mu, że to ja prowadzę, odpowiadam za wszystkich i nie życzę sobie podważania mojego autorytetu. W końcu puściłem go przed sobą i wolno doszliśmy do Berehów Górnych. W pewnej chwili podeszło do mnie kilku mężczyzn i poprosiło, żebym „ratował” grupę, bo dziadziowi zachciało się po obiedzie iść jeszcze na Połoninę Wetlińską, a oni już mają dość. Nie śmieli powiedzieć mu wprost, żeby odpuścił, bo był ojcem dyrektora zakładu, w którym pracowali. Nestor nie chciał zrezygnować z wędrówki, dopiero gdy zastąpił po obfitym posiłku, inni odetchnęli z ulgą. Ogłosiłem, że nie idziemy na Wetlińską, bo wszyscy są zmęczeni. Za to „ocalenie” dostałem od turystów dużą butelkę przedniej wódki...

Na końcu świata i bliżej ludzi

Po likwidacji PPD „Ustianowa” w 1991 roku Franciszek Adamczyk zatrudnił się w Bieszczadzkim Parku Narodowym. Tu spędził 24 lata, aż do emerytury, a przypaść mu z początku do pracy najbardziej oddalony, najdalszy odcinek, tuż przy granicy z Ukrainą. Dokumenty wypełniał przy lampie naftowej, mył się w zimnej wodzie przyniesionej w wiadrze z potoku Negryłów, na przynależ z kolegą wstawał nocą w zimie co dwie godziny, żeby dokładać do pieca. I nigdy nie narzekał. – Marzyłem o życiu w bezpośrednim kontakcie z naturą. I to mi się spełniło.

Często zmieniał gumki na buty traperskie i ruszał w teren. Nierzadko jako ratownik GOPR ze swoim wysłużonym czerwonym plecakiem i naszytym na nim niebieskim krzyżem. – Mieliliśmy w bazie w Siankach radiotelefon, który łączył nas ze światem, ale to wszystko. Dopiero z czasem, po wizycie studentów z Warszawy, którzy odbywali tu praktyki i których przeraziły warunki socjalne, trochę się poprawiło, bo uruchomiono wodociąg pod własnym ciśnieniem. Młodzieńcy spali na przyczach, takich samych jak drwale, i słuchali w ciemnościach, jak po kwaterach biegają szczury. Po powrocie do stolicy załatwili nam agregat prądotwórczy. To już była „Ameryka”. A nieco wcześniej zjawiała się dziewczyna zwiedzająca okolicę na rowerze. Kiedy zobaczyła pilaży, spocone konie, błoto i te nasze warunki, zapytała, czy tutaj nagrywano „Bazę ludzi umarłych”...

Po 2000 roku Adamczyk pracował w sektorze turystycznym BpN w Lututowicach. Z młotkiem i gwoździem przemierzał góry i przybijał tabliczki na słupach. Znakowanie szlaków to wielkie dokonanie pana Franciszka. W przerwie



Przejście przez szuwar w Tworylnem

FOT. KRZYSZTOF POTACZAŁA (6)

naszej rozmowy, między jednym tykiem herbaty a drugim, wyciąga z domowej szafy stos teczek formatu A 4. Każda teczka to jeden rok, a zbierało się już 39. Masa pracy, o której mało kto wie, tej papierkowej i fizycznej. Nieprzespane noce ze ślęceniem nad dokumentacją, transport słupów i tablic na wysokość ponad 1000 m n.p.m., wiele kilometrów przemierzonych ścieżek z koszulą moką od potu tak, że trzeba ją było wyżymać. A wynagrodzenie tylko za pracę fizyczną, reszta za darmo.

Mógłby już dawno rzucić to w diabły, jednak wie, że czegoś by mu nagłe zabrakło. To również kwestia odpowiedzialności za bezpieczeństwo turystów, tym bardziej że znakarzy w Bieszczadach na lekarstwo. Młodzi jakoś się nie garną, trudno znaleźć następców na dłuższe.

Dozgonna miłość

Znakowanie ma to do siebie, że co jakiś czas musi być odnawiane, uściślone. Słupy gniją, nie brakuje też wandalów, którzy z głupoty, czasami „pod wpływem” niszczą tabliczki i słupki. A Bieszczady są rozległe, setki kilometrów szlaków. – Od 1984 roku zajmuje się tym oddział PTTK w Ustrzykach Dolnych, którego jestem członkiem – opowiada. – Mamy obecnie 252 kilometry wyznakowanych i utrzymanych szlaków. W naszym oddziale najbardziej jestem dumny z tego, że udało się połączyć 45-kilometrowy szlak z Ustrzykami Dolnymi do Dwernika. I że w 1993 roku turyści mogli wreszcie pójść oznakowaną trasą na Kremenaros, szczyt, na którym łączy się granice Polski, Ukrainy i Słowacji. Innym niezwykle ważnym i pięknym szlakiem jest ten prowadzący z Bukowca przez Beniową do Sianek i źródła Sanu. Tu też za czasów pracy w BpN zostawiłem sporo swoich sił.

Goprowiec, przewodnik i znakarz nie zamierza rezygnować z wypraw w górskie masywy. Dają mu radość i siłę. Oraz nadzieję, że przed nim jeszcze mnóstwo przygód. Po to kiedyś zaczynał romans z górami, który tak szybko przemienił się w dozgonną miłość.

„Bury” – postrach czy skarb Bieszczadów?



FOT. GRZEGORZ LEŚNIEWSKI

CZŁOWIEK I PRZYRODA

MATEUSZ PODKUL

Podczas majówki na drodze turystów wędrujących do rezerwatu „Sine Wiry” stanął niedźwiedź. Zwierz ostatecznie został przepłoszony sygnałami świetlnymi i dźwiękowymi.

Niespodziewane spotkanie po raz kolejny przypominało, że Bieszczady są polskim matecznikiem tego największego drapieżnika lądowego na świecie.

W przeszłości ze strachu przed tym zwierzęciem miejscowa ludność mówiła na niego „bury” lub „on”. Obawiano się wymawiać jego nazwę, żeby – parafrazując znane powiedzenie – nie „wywoływać niedźwiedzia z lasu”. Dla zabobonnych i strachliwych mieszkańców Bieszczadów uchodził za niemal nieśmiertelnego pół-zwierza, pół-demon.

Siały spustoszenie

Ziemia sanocka niegdyś słynęła z licznej populacji niedźwiedzi. Sprzyjały temu gęste, rozległe lasy oraz niske osadnictwo. Lustracja królewska z 1565 roku, dotycząca położonej u stóp pasma granicznego wsi Solinka, wspomina, że w tej miejscowości zamieszkiwał wówczas jedynie kmiotek, czyli sołtyś i dwóch osadników. Powód tego był następujący: „acz tam jest dobre miejsce do osadzenia wsi, ale las wielki, a niedźwiedziów dosyć, którzy ludziom sadowiącym dobytek psują”.

Wraz ze wzrostem zaludnienia Bieszczadów i przyległych terenów oraz związanym z tym karczowaniem lasów liczba niedźwiedzi zaczęła maleć. W XIX w. występowały głównie w paśmie Łopienka oraz w lasach Hyrlatęj i Rosochy, a także dalej na wschód i południe – w ostojach Otrytu, połonin i pasma granicznego. Jak zapisał związany pochodzeniem z Olchową prof. Wiktor Schramm, „miewały tam ku wschodowi swe barłogi, straszły po połoninach pasterzy, krową dań baranią i wołową pobierały do ostatniej ćwierci XIX w.” Siały spustoszenie wśród stad wypasanych w górach, stanowiących łatwą zdobycz dla „burego bacy”, jak z kolei określali drapieżnika pasterze. Niedźwiedzie były częstym powodem ich lęku.

Wedle relacji Klemensa Topolnickiego, za młodu mieszkającego w Dydiowej, w latach 70-

tych XIX w. na polach i łąkach Bojkowie wypasali kilkaset sztuk wołów, które padały łatwym łupem niedźwiedzi. Pisał: „Niedźwiedzie corocznie znaczne szkody robiły, napadając i wybijając po pastwiskach woły. Ostrzegawcze z daleka widoczne po górach nocne pastwiska wolarzy, nawoływania i buczenia na długich trąbitkach z kory, ryki wystraszonego stad wołów i krwawa hekatomba króla puszczy – to zwykły obraz ówczesny tych stron”.

Gdy ofiara staje się napastnikiem

Zaskakujące śniegi lipcowe w 1870 roku, a także zarazy wśród bydła odbyły się na populacji niedźwiedzi u schyłku XIX w. Swoje w tym względzie zrobiły również polowania. Za rarytas uchodziło niedźwiedzie sadło, a prawdziwym przysmakiem były łapy drapieżnika.

Wspomniany prof. Schramm jako mały chłopiec w 1898 roku uczestniczył w polowaniu na tego zwierza w okolicach Cisnej, od strony Łopienka. Jako przynętę wykorzystano konia, który przywabiał cztery niedźwiedzie, w tym matkę z dwojgiem młodych. Niedźwiadki później chowano w niewoli. Uczony w swej pamięci utrwalił leśniczego Habichta, administrującego lasami w okolicach Smereka i Wetliny. Ten miał ponoć niedźwiedzi „dwunastu kilku ubitych na sumieniu”.

Nieraz zdarzało się, że ofiarami polowań padały nie drapieżniki, lecz myśliwi. Jedno z tragicznych łowów miało miejsce w 1910 roku na stokach Halicza. Osaczony niedźwiedź zabił wówczas trzech myśliwych, a czwarty wedle przekazu Alojzego Wiluszynskiego, mieszkańca Tarnawy Wyżnej, stracił nogę. Prawdopodobnie tragiczny efekt łowów, kiedy to ofiara stała się napastnikiem, wynikał z faktu, iż łowcy działali pod wpływem alkoholu.

Na celu kłusowników

Schwytane niedźwiedzie pozwalały także zarobić. Wykształcił się fach „niedźwiedźników”, którzy świadczyli usługi „odczarowując” chałupy chłopskie, oczywiście za odpłatnością. Wprowadzony do sieni, izby, chlewa i obory niedźwiedź wypędzał czarta, który wedle zabobonnej wiary mieszkańców tylko tego zwierza się obawiał.

Prym w tresowaniu niedźwiedzi wiodli Cyganie. Na targach w Lesku pojawiali się nieraz prowadząc na łańcuchu tańczącego „misia”. Gospodarujący w Bereźnicy Wyżnej XIX-wieczny pisarz Zygmunt Kaczkowski, nazywany „bardem ziemi sanockiej”, przybliżając w powieści „Mąż szalony” uczestników odpustu w Łopience, pisał:

„Dalej Cygan z niedźwiedziem, na łańcuchu trzymanym i na dwóch łapach idącym, posuwa się do przodu”.

Będący celem polowań „bury” zniknął stopniowo z przyrodniczego krajobrazu regionu. Choć nigdy nie został zupełnie wytępiony w Karpatach, których częścią są Bieszczady, to jego populacja została mocno zredukowana. Swoją cegiełkę dołożyli do przetrzebienia tych zwierząt także kłusownicy. Pewien chłop w 1916 roku zabił niedźwiedzia w okolicach Zawozu. Z kolei jeden leśniczy w 1926 roku posiadał trzy wypchane niedźwiedzie w swej leśniczówce w Stuposianach. Niemniej, na podstawie relacji o szkodach w pasiece w Berehach Górnych (obecnie Brzegach Górnych) wiadomo, że drapieżniki bywały tuż przed ostatnią wojną w Bieszczadach.

Po 1945 roku doliczono się w Polsce zaledwie czterech sztuk. Mimo to już w 1951 roku w dolinie Sanu pod Otrytem odnaleziono martwego niedźwiedzia, który znalazł się na celowniku kłusowników.

Powojenne wyludnienie Bieszczadów, będące efektem wysiedlenia, oraz zdżiczenie tych gór sprzyjało odrodzeniu populacji tutejszych niedźwiedzi. Dodatkowo, w 1952 roku, znalazły się one pod ochroną. Dekadę później liczebność „burego” wzrosła do kilkunastu sztuk, do połowy lat 90-tych oscylowała w okolicy pięćdziesięciu, by wraz z nadejściem nowego tysiąclecia przekroczyć setkę.

Premier strzela raz i drugi

Uaktywniły się w swym rozbójniczym zajęciu i zaczęły również czynić szkody – w pasiekach i wśród żywego inwentarza hodowców. Toteż w okresie Polski Ludowej kilkakrotnie wydawano zgody na ich „prewencyjny” odstrzał, przy czym niektóre były dość mocno naciągane. Do drapieżników nie mógł strzelać byle kto. Przeznaczano je jako potencjalny łup dla notabli z władz partii i państwa. Człowiekiem od czarnej roboty, mającym wystawiać zwierzęta przed łufy oficjeli i przysgotować nęciska, był Władysław Pepera, nadleśniczy ze Stuposian.

W legendy obrosły łowy z jego udziałem, to-

re odbywał wspólnie z wicepremierem (od 1970 roku premierem) Piotrem Jaroszewiczem. Ten celował do niedźwiedzi kilkakrotnie – w latach 1966-1967. Dopiero za kolejnym razem osiągnął cel, choć do dzisiaj są wątpliwości, czy osobnik ze zbiorów Muzeum Bieszczadzkiego Parku Narodowego w Ustrzykach Dolnych to ofiara Jaroszewicza.

Do drapieżnika strzelał także Franciszek Szlachcic, członek Rady Państwa i wicepremier oraz Walenty Bartoszewicz, wiceminister leśnictwa. Łupem polowania z udziałem tego drugiego padł niedźwiedź ważący 360 kilogramów. Podczas ostatnich udokumentowanych łowów na „burego” w 1975 roku trafiono osobnika o masie większej o 20 kilogramów i łapie szerokiej na 20 centymetrów. W ten sposób co najmniej pięć niedźwiedzi zostało zastrzelonych. (Szerzej o całej kwestii polowań na niedźwiedzie w tamtym czasie pisał Krzysztof Potaczala w książce „Bieszczady w PRL-u”).

Największy matecznik

W późniejszym okresie drapieżnik zaznał więcej spokoju, dzięki czemu jego liczebność znacząco wzrosła, choć daleko jej do tej z sąsiedniej Słowacji czy niedalekiej Rumunii. Szacunki dotyczące Bieszczadów i okolicznych terenów są bardzo różnicowane i sięgają od kilkudziesięciu sztuk do ponad dwustu. W 2014 roku pracownicy RDLP w Krośnie podawali, że na administrowanym przez nich terenie żyje 150 niedźwiedzi, głównie w Bieszczadach i po sąsiedzku – we wschodniej części Beskidu Niskiego, w Górach Sanocko-Turczańskich i na Pogórzu Przemyskim. Wedle danych opublikowanych pięć lat później liczebność ta wzrosła do 230 sztuk. Niedźwiedzie zasiedlają wszystkie bieszczadzkie nadleśnictwa, a zagęszczenie na kilometr kwadratowy należy do najwyższych na świecie. Z kolei aktywiści ekologiczni podają mniejsze liczby.

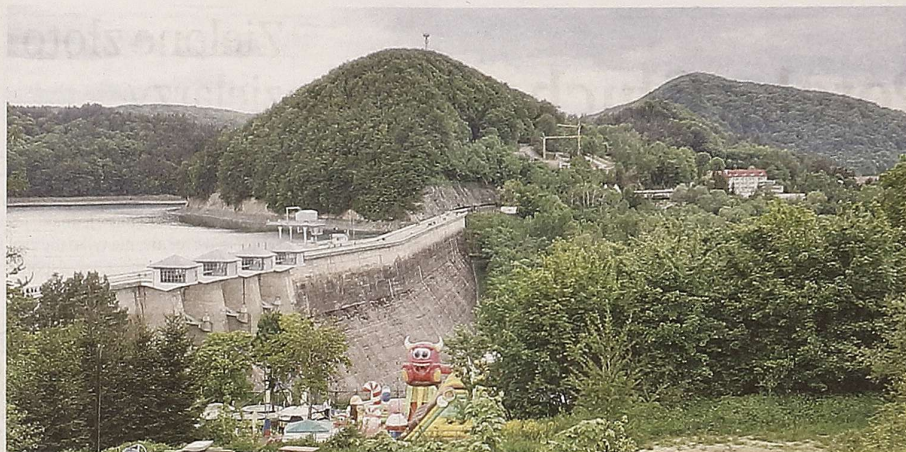
Statystyka mówi, że około 90 proc. brunatnych drapieżców żyje właśnie tutaj, choć najczęściej w mediach ogólnopolskich mówi się o tych tatrzańskich. Dużo mniejszy obszar polskich Tatr, przy zdecydowanie większej liczbie turystów odwiedzającej najwyższe polskie góry, sprzyja niespodziewanym kontaktom i obserwacjom niedźwiedzi przez górolazów. Bieszczadzkie niedźwiedzie są bardziej zdżiczone, unikają kontaktów z ludźmi, choć sporadycznie „konfrontują się” głównie ze zbieraczami poroży i grzybiarzami. W ostatnich latach takie nagłośnione sytuacje miały miejsce w okolicach Szczawnego, Buka, Teleśnicy Oszwarowej i Żerdenki.

Niech kojarzą się dobrze

Echem w całej Polsce w październiku 2014 roku odbiła się śmierć mieszkańca Olszanicy, który wedle finalnych ustaleń śledczych i prokuratury zginął z „łapy niedźwiedzia”. To pierwszy taki przypadek w kraju nad Wisłą od międzywojnia. Miejmy nadzieję, że ostatni, choć sytuacja z początku maja przywołana na wstępie tekstu pokazuje, że rosnąca presja turystyczna będzie zapewne sprzyjać coraz częstszym spotkaniom, także z udziałem zwiedzających Bieszczady.

Niemniej należy trzymać kciuki, żeby bieszczadzkie „misie” kojarzyły się tylko dobrze – z filmikami znanego leśnika Kazimierza Nózki, „gwiazdą” poznańskiego ogrodu zoologicznego, czyli niedźwiedzią Cisną, a w najgorszym wypadku – z tanim winem ze słynnym niedźwiedziem o trzech łapach na etykiecie.





Widok na zaporę wodną w Solinie od strony góry Jawor. FOT. KRZYSZTOF POTACZAŁA



Grupa kolonistów ze Lwowa, wypoczywająca w 1938 roku w Rajskim. Zdjęcie wykonane ze stoku Otrytu. W tle wieże wiertnicze i dach kuźni

FOT. ARCHIWUM ZGROMADZENIA SIÓSTR MIKOSIEDZIA ŚW. WINCENTEGO A PAULO (SZARYTEK) W KRAKOWIE

HISTORIA

MATEUSZ PODKUL

W numerze 5 Gazety Bieszczadzkiej przypomnieliśmy rolę, jaką w zachowaniu przy Polsce tzw. worka bieszczadzkiego po II wojnie odegrał późniejszy profesor geografii Stanisław Leszczycki. Ale rozmowy toczone w sierpniu 1945 roku w Moskwie były jedynie wstępem do szczegółowej delimitacji i demarkacji granicy polsko-radzieckiej.

Pod tym pierwszym określeniem kryje się dwustronne ustalenie przebiegu granic, pod drugim – wyznakowanie ich już w terenie w postaci słupków itp. Polaków szczególnie interesowało zachowanie przy Polsce węzła kolejowego w Chyrowie i jak największego obszaru wokół Soliny, umożliwiającego w przyszłości wybudowanie na Sanie zapory wodnej. Ewentualne ustanowienie bieszczadzkiego odcinka kordonu na tej rzece, jak wstępnie założono, w praktyce niweczyło plany polskich inżynierów i hydrologów.

Graniczne podchody

Za delimitację i demarkację granicy miała odpowiadać Polsko-Radziecka Mieszana Komisja Delimitacyjna, której cele i skład kształtowały się na przełomie 1945 i 1946 roku. Polską delegację w tej strukturze tworzyli przedstawiciele ministerstw: spraw zagranicznych, obrony narodowej, administracji, bezpieczeństwa publicznego oraz lasów, jak również liczni specjaliści. Ostatecznie jej przewodniczącym mianowano podsekretarza stanu w Ministerstwie Administracji Publicznej Aleksandra Żaruka-Michalskiego. Członkiem komisji został również wywodzący się z podbrzozowskiego Trześniowa generał Bronisław Prugar-Ketling.

Na początku 1946 roku odbyły się konsultacje polsko-radzieckie w sprawie organizacji Mieszanej Komisji Delimitacyjnej dla wyznaczenia granicy polsko-sowieckiej z siedzibą w Warszawie. Przyjęto wówczas statut, w którym założono, że na rzekach nieległownych i strumieniach granica powinna przebiegać środkiem. Oczywiście kwestia ta szczególnie dotyczyła Bieszczadów, gdzie linia graniczna miała opierać się na Sanie.

W pierwszej fazie prac komisji został sporządzony protokół z przyporządkowaniem sześciu podkomisjom odcinków przeznaczonych do delimitacji. W polu działania dwóch pierwszych znalazły się Bieszczady. Odcinek pierwszej podkomisji, o długości około 130 km, rozpoczynał się na trójstyku granic Polski, Związku Radzieckiego oraz Czechosłowacji i biegł po linii przedwojennej granicy Polski i Czechosłowacji, aż do źródeł Sanu, a następnie korytem tej rzeki do południowego przystołka Soliny o nazwie Zadział. Na czele tejże podkomisji stanął major Kazimierz Engwert. Odcinek drugiej podkomisji, o długości

Boje o Chyrów, Solinę i ropę naftową

219 km, swój początek miał w Zadziale i biegł ładem do rzeki Sołokija na Lubelszczyźnie. Jej pracami kierował pułkownik Edward Bużkiewicz.

Żywotne interesy państwa

Już na początkowym etapie prac pojawiały się postulaty wytyczania granic odbiegających od przyjętych wcześniej założeń. Jedną z polskich propozycji sugerowała włączenie do terytorium Polski sąsiadujących z Sanem dolin kilku potoków na jego prawym brzegu, a w zamian oddanie Związkowi Radzieckiemu wysuniętej części cypła na lewym brzegu górnego Sanu, mocno wcinającego się w terytorium naszego wschodniego wówczas sąsiada. Chodziło o okolice Bukowca, Beniowej i Sianek.

Zanim przystąpiono do wspólnych polsko-radzieckich rozmów nad szczegółowym przebiegiem granicy w terenie, polska strona zbierała opinie i propozycje od władz administracji terenowej. Być może lędziła się, że na niektórych odcinkach uda się uzyskać nabytki terytorialne, a być może szło o działania propagandowe.

Starosta leski Tadeusz Pawlusiewicz skłaniał się za przesunięciem granicy powiatu na dawną jej linię od strony wschodniej, rozgraniczając powiat leski od turczańskiego i dobromińskiego. Takie widzenie sprawy równało się pozostawieniu po stronie polskiej wszystkich 40 gromad wraz z Ustrzykami Dolnymi. Jednocześnie starosta sprzeciwiał się przecięciu linii graniczną szlaku kolejowego łączącego Ustrzyki z Chyrowem. Według jego sugestii granicę należało zatem wytyczyć na południe od tej linii kolejowej, tak aby powiat leski miał połączenie kolejowe z Przemyślem przez węzeł chyrowski.

Także na szczeblu ogólnopolskim pojawiały się głosy za walką o jak największe nabytki dla strony polskiej. Pod koniec 1945 roku w Ministerstwie Przemysłu powstał dezyderat skierowany do Biura Prac Kongresowych MSZ w sprawie przebiegu południowego odcinka wschodniej granicy Polski. Głosił on, że nowa wschodnia granica państwowa przetnie w południowym odcinku obszary naftowo-gazowe, co nie uwzględni szeregu żywotnych interesów i potrzeb polskiego przemysłu naftowego. Autorzy dokumentu opowiadali się zatem za włączeniem w granice Polski m.in. Dobromiła i Chyrowa, linii kolejowej Przemyśl – Chyrów – Ustianowa, rafinerii nafty w Ustrzykach Dolnych i pola naftowego wraz z kopalnią Czarna-Lipie.

Przez wododział Sanu i Dniestru

Bieszczadzki odcinek granicy był najgoręcej dys-

kutowany. Na konferencji w MSZ 14 grudnia 1945 roku uznano za konieczne opracowanie przez poszczególne ministerstwa koncepcji dotyczącej m.in. przyszłości Soliny, Chyrowa oraz Wańkowej. Ministerstwo Komunikacji za priorytetową postrzegало sprawę Soliny jako istotną z punktu widzenia gospodarki wodnej na Wiśle, a ponadto m.in. Chyrowa. Generał Stefan Mossor, późniejszy dowódca Grupy Operacyjnej „Wista”, stwierdził wówczas, że najważniejszy dla stosunków sąsiedzkich Polski i Związku Radzieckiego jest właśnie węzeł chyrowski, a ponadto tereny ropo- i gazonośne.

Docent dr Henryk Świdziński z Państwowego Instytutu Geologicznego przedstawił na początku 1946 roku memorandum, w którym wskazywał na konieczność włączenia w obszar Polski całego złoza Łodyni, położonego w projekcie 4 km od granicy, ale po stronie radzieckiej. Ponadto zwracał uwagę na pozostawienie przy Polsce terenów naftowych w Lipiu i Czarnej oraz niewielkich pól naftowych w Polanie-Ostrem, Skrodnem i Rajskim.

Swoje uwagi mocno podnosiło wspomniane Ministerstwo Komunikacji. W kontekście delimitacji i demarkacji granicy polsko-radzieckiej wskazywało na kwestię budowy projektowanej poniżej Soliny zapory o dużym znaczeniu gospodarczym dla kraju. Wytyczenie kordonu środkiem Sanu uniemożliwiłoby realizację planowanej inwestycji. Ministerstwo także postulowało włączenie w granice Polski linii kolejowej z węzłem w Chyrowie, jednocześnie argumentując, że wybudowanie nowego połączenia kolejowego na wschód od Sanu, z pominięciem Chyrowa, wiązałoby się z ogromnymi wydatkami w trudnym górzystym terenie.

Resort podkreślał, że węzeł chyrowski powinien pozostać przy Polsce również z racji znaczenia Chyrowa jako najbardziej odpowiedniej stacji wwozowej dla ropy naftowej z Zagłębia Boryslawskiego oraz drewna z Karpat Wschodnich. Reasumując, ministerstwo opowiadało się za wytyczeniem granicy przez wododział Sanu i Dniestru.

Ważne i mniej ważne tory

Wkrótce resort zgłosił kolejny postulat, tym razem w sprawie włączenia do Polski szybowiska w Ustianowej. Jednocześnie z tym punktem powiązał kwestię przełomienia w rozmowach dla kraju linii kolejowej i drogi bitej Chyrów – Lesko, koniecznej dla komunikacji z szybowiskiem w Bezmiechowej.

Ostatecznie 21 marca 1946 roku Delegacja

Polska do Polsko-Radzieckiej Mieszanej Komisji Delimitacyjnej skierowała do rządu Polski memorandum, w którym zaproponowała zwrócić się do rządu ZSRR na drodze dyplomatycznej z prośbą o zgodę na przeprowadzenie dwóch najważniejszych zmian w ustaleniu granicy. Zaliczono do nich zaporę wodną na Sanie. Padła tu propozycja, aby do obszaru Polski włączyć sąsiadujące z Sanem doliny kilku potoków, a jako rekompensatę Związkowi Radzieckiemu odstąpić wysuniętą część cypła na lewym brzegu górnego Sanu, w tzw. worku bieszczadzkiem.

Druga kwestia dotyczyła węzła kolejowego w Chyrowie, który po oddaniu stronie radzieckiej, jak argumentowano, stawałby się bezużyteczny dla obu państw. W zamian za przyznanie Polsce w całości linii kolejowej Przemyśl – Chyrów – Nowy Zagórz strona polska gotowa była oddać wschodniemu sąsiadowi magistralę kolejową w okolicach Krystynopola.

Memorandum kończyło się m.in. następującą treścią: „ze względu na to, że w obu opisanych wypadkach chodzi wyłącznie o ważne względy gospodarcze i że Polska proponuje za każde ustępstwo rekompensatę, Delegacja Polska jest zdania, że propozycja powyższa zmian jest realna i może być na drodze dyplomatycznej osiągnięta. Polska zyskałaby na tych niewielkich zmianach bardzo dużo, a Związek Radziecki nie straciłby nic istotnego”. Po latach wiemy, że postulaty Polaków nie zostały uwzględnione. Radziecki „niedźwiedź” pozostał nieugięty.

Z myślą o zaporze wodnej

Na ostateczne rozmowy z przedstawicielami Sojuza delegacja polska przygotowała trzy warianty rozwiązania palących kwestii. Dwa z nich bezpośrednio odnosiły się do Bieszczadów. Program maksimum zakładał poprowadzenie granicy trzy kilometry na wschód od Chyrowa, dając pozostawienie Bystrego i Michniowca po stronie radzieckiej, a Lutowisk i Żurawina po stronie polskiej. Bardziej na południe granica powinna, jak to ujęto, „zużytkować grzbiec Bukowego Berda i szczyt Halicza”. Należy to odczytać jako gotowość do oddania Związkowi Radzieckiemu obszarów położonych pomiędzy Sanem a tymi wzgórzami.

Co ciekawe, winnym memorandum proponowano, że w zamian za miejsce pod zbiornik Solina, wschodniemu sąsiadowi zostanie przekazany „pas terenu wzdłuż źródłowego odcinka Sanu, przylegającego do linii kolejowej Turka – Użok”. Opcja minimalna godziła się na rezygnację z połączenia przez Chyrów, ale przewidywała możliwość wybudowania zbiornika wodnego w Solinie.

Finalnie eksperci radzieccy odrzucili 19 marca 1946 roku zaproponowane przez Polskę zmiany. O Chyrowie trzeba było zapomnieć, a z Ustrzykami Dolnymi, Czarą i Lutowskimi pożegnać się do 1951 roku. W czasie odłożone zostały także plany budowy zapory w Solinie. Nie wiadomo nawet wtedy, czy w ogóle powstanie.

ROZMAITOŚCI

Osuwisko w dolinie Potoku Głuchego

Najbardziej znanym osuwiskiem w Bieszczadach jest Zwieżło w masywie Chryszczatej – dzięki niemu powstały Jeziora Duszałyńskie. Inne istniejące na zboczu Połomy w rezerwacie Sine Wiry – przegrodziło Wetlinkę, tworząc nieistniejące już Jezioro Szmaragdowe.



Skorodne. Grzyb skalny w czole osuwiska FOT. WITOLD SMOLEŃSKI

Ale jest też wiele mniejszych współczesnych osuwisk, które nie mają nazw, a w mikroskali pozwalają zaobserwować ich typowe formy: jeziorka, nisze oraz jezory osuwiskowe wraz z erozyjnymi formami skalnymi na ich powierzchni. Jednym z nich jest osuwisko w rejonie Skorodnego, pół kilometra na wschód od zabudowań wsi.

Zwały ziemi i skał zsunęły się w dolinę Potoku Głuchego w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Osuwisko powstało na południowym ramieniu wzgórza, które wznosi się 100 metrów ponad dnem doliny Potoku Głuchego. Państwowy Rejestr Nazw Geograficznych przytacza nazwę tego wzgórza (Mirki 646 m n.p.m.). Nato-

miast mapy turystyczne nie podają żadnej jego nazwy.

Prześlągnięty wodą grunt spłynął w dolinę ze zbocza Mirek, porośniętą zarówno fragmenty podłoża skalnego, jak i rosnącą na nim las. Jezor osuwiskowy utrudnił odpływ wód powierzchniowych i spowodował powstanie niewielkiego jeziora osuwiskowego, z którego woda odprowadzana jest dziś przez drogowy przepust.

Naturalne procesy erozji odsłoniły na powierzchni osuwiska bloki gruboławicowego piaskowca. Jeden z takich bloków ma ciekawą postać erozyjnego grzyba skalnego. Na młode osuwisko wkroczyła charakterystyczna dla procesu sukcesji roślinność: jałowiec, krzewy i młode drzewa. Południowa wystawa okazała się korzystna dla stanowiska fiołków leśnych.

Jezor osuwiska nie dotarł do Potoku Głuchego, ale jego czoło zasypało

modernizowaną w latach osiemdziesiątych drogę, prowadzącą wzdłuż doliny z Lutowskiego przez Skorodne do Polany. Dlatego musiano skorygować przebieg drogi, omijając łukiem spiętrzenie nasuniętego ziemno-skalnego materiału. Nie było innego wyjścia – odkopywanie zasypanej drogi byłoby pracą syzyfową. Zaburzyłoby równowagę zbocza i uruchomiło procesy osuwiskowe w tym samym miejscu.

Natomiast bez obawy o zemstę natury projektanci, modernizujący starą drogę Lutowską – Polana, w wielu miejscach korygowali koryto Potoku Głuchego, ścinając jego meandry po to, by nie budować kosztowych mostów. Wcześniej stara, kręta droga była obsadzona wierzbami, czasem wiodła przez brody. Po przebudowie straciła swój urok. Niemniej ciągle jeszcze sprawia wrażenie drogi gruntowej, bo na dużym odcinku nie ma asfaltowej nawierzchni. Dzięki temu, że z trudno przejezdnej powiatowej drogi rzadko korzystają samochody, stanowi ona dogodny szlak dla uprawiania turystyki rowerowej i konnej.

WS

Zielone złoto zielarzy

Od dzieciństwa wiemy, jakich roślin należy unikać w bezpośrednim kontakcie. Bo kogo nie poparzyła nigdy pokrzywa zwyczajna? Jednak jeśli zebrać ją ostrożnie, nie tylko nie zrobi nam krzywdy, ale może też wspomóc nasz organizm.



FOT. ANNA MOSSAKOWSKA

Bez wątpienia jest to jedno z najpopularniejszych ziół, z którego możemy korzystać właściwie przez cały sezon. Jednak to teraz, na wiosnę, młode rośliny są najbardziej wartościowe i warto je zbierać. Mało tego, to też czas, kiedy nasz organizm, zmęczony po zimie, najbardziej potrzebuje ich cudownych właściwości. Młoda pokrzywa bowiem detoksykuje, odżywia, dodaje energii i oczyszcza.

Używano jej już w medycynie ludowej – i to zarówno łodyg, liści, jak i podziemnych kłączy. Nicolas Culpeper, XVII-wieczny zielarz pisał o niej: „Ponieważ pokrzywa jest ogrzewająca i osuszająca, wierzchołki pokryw jedzone wiosną usuwają nadmiary śluzu w ciele, będące pozostałościami po zimnie i wilgoci zimy.”

Nim jednak zdecydujemy się na pokrzywową kurację należy pamiętać, że ma ona kilka przeciwwskazań. Między innymi nie mogą jej stosować osoby z problemami nerkowymi (działa moczopędnie), z chorobami nerek i po zabiegach chirurgicznych.

Ale do rzeczy – jak używać młodej pokrzywy, aby efekty były jak najlepsze? Polecam kurację świeżym sokiem. Wystarczy dwie łyżki codziennie na czczo, nie dłużej niż przez dwa tygodnie. Oczywiście, jeśli nie mamy możliwości przyrządzenia soku, można przygotować napar. W takim wypadku wskazane są 2–4 (nie więcej) filiżanki dziennie, przez taki sam okres. Warto w tym czasie działać kompleksowo – nawadniać organizm, zdrowo się odżywiać i więcej się ruszać.

Takie dwa tygodnie sprawią, że oczyści się skóra, więc na początku kuracji mogą się pojawić wypryski. Pamiętajmy, że to nie złego, toksyny muszą jakoś wydostać się z organizmu. Na stan skóry wpłyną też zawarte w ziele antyoksydanty, a więc pozbędziemy się wolnych rodników. Poza tym pokrzywa to bogactwo witamin (A, E, K, B2, C) i soli mineralnych (żelazo, krzem, potas, magnez, wapń, fosfor), więc znacząco wpłynie na odżywienie naszego organizmu.

Są rośliny tak popularne, że przechodzimy obok nich z obojętnością. W przypadku pokrzywy zachowujemy dodatkowo odpowiedni dystans. Mam jednak nadzieję, że więcej osób spojrzy na nią życzliwym okiem – wszak pozory mylą.

AM

500 kilometrów w szczytnym celu

Szlak Bez Presji, czyli charytatywnie przejście Głównego Szlaku Beskidzkiego, to inicjatywa Fundacji z Wyboru i projektu The Presja. Cel – zebranie pieniędzy na terapię dla osób niemających, potrzebujących wsparcia psychologicznego.

Dla podopiecznych Projektu The Presja droga przez życie, przy towarzyszących im objawach psychicznych, jest prawdziwym wyzwaniem – mówi Marcin Pawelec z Fundacji z Wyboru, inicjator akcji. – Postanowiliśmy symbolicznie „odzwierciedlić” wycieczkę, przed którą stoją osoby w kryzysie psychicznym, przechodząc 500-kilometrowy Główny Szlak Beskidzki w 20 dni. Zbierając przy tym darowizny od darczyńców i sponsorów, chcemy zapewnić dofinansowanie psychoterapii dla osób o niskich dochodach.

Depresja to poważny problem społeczny. Codziennie w Polsce 16 osób odbiera sobie życie. Większość z po-

wodu stanów depresyjnych. Dla porównania, każdego dnia na polskich drogach, w wyniku wypadków komunikacyjnych, ginie średnio 11 osób. Zgodnie z przewidywaniami Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) do 2030 roku depresja zajmie pierwsze miejsce wśród najczęściej występujących chorób na świecie.

Wyprawa rozpoczęła się w Wołoszynie 16 maja. Finał zaplanowano na 4 czerwca w Ustroniu. Do przejścia jest ponad 500 kilometrów. W trakcie wyprawy, do Marcina, który planuje przejść całą trasę, będą dołączać inne osoby, by wspólnie z nim pokonać choćby kilka odcinków Głównego Szlaku Beskidzkiego.

– Zapraszamy do wspólnego marszu Głównym Szlakiem Beskidzkim wszystkich chętnych – mówi Tomek Buczek, współorganizator akcji, który przejdzie z Marcinem znaczną część trasy. – Można do nas dołączyć choćby na 1–2 dni. No i oczywiście zachęcamy do wsparcia akcji datkiem finansowym. Zebrana kwota będzie przeznaczona na psychoterapię dla osób o niskich dochodach.

Przebieg wyprawy jest dokumentowany codziennie poprzez relacje zdjęciowe i wideo publikowane na Facebooku akcji Szlak Bez Presji (<https://www.facebook.com/Szlak-BezPresji/>) oraz projektu The Presja (<https://www.facebook.com/Projekt-ThePresja/>). Prowadzona jest zbiórka w serwisie [zrzutka.pl](https://zrzutka.pl/z/gsb2022) pod adresem: <https://zrzutka.pl/z/gsb2022>. – Każdy może wesprzeć naszą inicjatywę dowolną kwotą – informuje Marcin Pawelec, a Tomek Buczek dodaje: – Jesteśmy także otwarci na współpracę z firmami i instytucjami, które chciałyby zaangażować się w naszą akcję.

MPR



Żmija uchwyciona w kadrze gdzieś w Bieszczadach FOT. EDWARD MARZĄŁEK

Żmijowe gody

W maju żmije mają okres godowy. Wprawdzie liczba ukąszeń przez nie jest niewielka, co roku jednak wiele tych chronionych gadów ginie z rąk wystraszonych turystów.

Leśnicy zalecają podczas wycieczek do lasu zakładanie wysokich butów, które zabezpieczą przed ukąszeniami. Spotkanie z tym gatunkiem jest bowiem możliwe i trzeba zachować ostrożność. W miejscach, gdzie gad ten występuje licznie, leśnicy oznaczają tzw. żmijowiska. Powinno to zwiększyć czujność spacerowiczów.

Żmija jest stworzeniem pożytecznym, pełniącym ważną rolę w naturze. Ulubionym jej środowiskiem są polanki, podmokłe łąsy, stopy kamieni na pograniczu pól i lasów, zwłaszcza w okolicach górskich. Miejscem rozrodu dla tych gadów mogą być nawet przydomowe ogródki skalne. Szczeliny między kamieniami stanowią schronienie, a z kolei warstwy trocin czy kory stwarzają dobre warunki termiczne.

Żmija potencjalne ofiary ocenia pod kątem własnych możliwości po-

karmowych, dlatego nigdy nie ukąsi ona człowieka, jeśli ten nie da jej powodu ku temu. Atakuje zazwyczaj odruchowo, gdy nie ma możliwości ucieczki.

Ukąszenie żmii nie boli. Pozostają po nim dwa niewielkie ślady od zębów jadowych. Ból i zawroty głowy zaczynają się po 15–20 minutach od ukąszenia.

Jad żmii działa głównie na układ nerwowy. Zdrowy, dorosły człowiek powinien ukąszenie przeżyć bez większych komplikacji. Niebezpieczne mogą być jednak ugryzienia w twarz i szyję, z uwagi na szybkie przemieszczanie się jadu w krwiobiegu. Mogą one być rzeczywistym zagrożeniem dla życia dzieci. Toksyczność jadu jest odwrotnie proporcjonalna do wagi ciała ofiary. Jad tego gada jest też bardzo niebezpieczny dla osoby będącej pod wpływem alkoholu. Zaraz po ukąszeniu należy szybko podać antydotum w zastrzyku.

Na Podkarpaciu żyją trzy odmiany barwne żmij: brązowe, srebrzyste i czarne. Ich wspólną cechą rozpoznawczą jest zygzak na grzbiecie (tzw. wstęga kainowa) i znak „x” na głowie. Charakterystyczna u żmii jest też pionowa żłrenica oka.

EdM



Marcin Pawelec na szlaku

FOT. ARCHIWUM FUNDACJI Z WYBORU

OGŁOSZENIE



Działając w oparciu o uchwały Rady Miejskiej w Ustrzykach Dolnych nr XLV/594/21 r. w sprawie wyrażenia zgody na sprzedaż położonych w miejscowości Ustrzyki Dolne nieruchomości mienia komunalnego oraz nr XXXII/421/20 z dnia 27 października 2020 r. w sprawie wyrażenia zgody na sprzedaż położonych w miejscowości Ustrzyki Dolne nieruchomości mienia komunalnego – Burmistrz Ustrzyk Dolnych ogłasza:

1. I publiczny przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż:

niezabudowanej nieruchomości położonej w miejscowości Ustrzyki Dolne, oznaczonej numerem działki 2083/3 o powierzchni 0,0822 ha.

Cena wywoławcza nieruchomości 33.500,00-zł
Wadium 4.000,00-zł

Dla opisanej nieruchomości prowadzona jest księga wieczysta nr KS2E/00020412/1 przez Sąd Rejonowy w Lesku Zamięscowy Wydział VII Ksiąg Wieczystych w Ustrzykach Dolnych.

Na przedmiotową nieruchomość Gmina Ustrzyki Dolne nie posiada opracowanego planu zagospodarowania przestrzennego ani nie została wydana decyzja o warunkach zabudowy i zagospodarowania przestrzennego terenu, o której mowa w przepisach o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym.

2. I publiczny przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż:

niezabudowanej nieruchomości położonej w miejscowości Ustrzyki Dolne, oznaczonej numerami działek 339/6 i 531/14 o łącznej powierzchni 0,0893 ha.

Cena wywoławcza nieruchomości 120.000,00-zł

Wadium 12.000,00-zł

Dla opisanej nieruchomości prowadzona jest księga wieczysta nr KS2E/00020412/1 przez Sąd Rejonowy w Lesku Zamięscowy Wydział VII Ksiąg Wieczystych w Ustrzykach Dolnych.

Na przedmiotową nieruchomość Gmina Ustrzyki Dolne nie posiada opracowanego planu zagospodarowania przestrzennego ani nie została wydana decyzja o warunkach zabudowy i zagospodarowania przestrzennego terenu, o której mowa w przepisach o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym.

Przetarg odbędzie się w dniu 30 czerwca 2022 r. o godz. 10:00, w Urzędzie Miejskim w Ustrzykach Dolnych w sali nr 13.

W przetargu mogą brać udział osoby fizyczne i prawne, które wpłacą wyżej podane wadium w pieniądzu na konto nr 93 8621 0007 2001 0012 3347 0003 w Bieszczadzkim Banku Spółdzielczym w Ustrzykach Dolnych, wyszczególniając w dowodzie wpłaty oznaczenie nieruchomości, najpóźniej do dnia 27 czerwca 2022 r.

Wpłacone wadium zostanie:

- zaliczone na poczet ceny nabycia, jeżeli osoba wpłacająca wadium wygra przetarg,
- zwrócone, jeżeli osoba wpłacająca wadium nie wygra przetargu.

Jednocześnie informuję, iż nie przystąpienie do zawarcia umowy notarialnej na sprzedaż nieruchomości opisanej w ogłoszeniu w wyznaczonym terminie spowoduje przepadek wadium zaliczonego na poczet nabycia.

Zastrzegam sobie prawo odstąpienia od przetargu bez podania przyczyny.

Z up. burmistrza Michał Wnuk,
zastępca burmistrza

INFORMACJA



Działając zgodnie z art. 35 ust. 1 i 2 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz. U. z 2021 r. poz. 1899, ze zm.), informuję, że w Urzędzie Gminy w Czarnej (Czarna Góra 74) na tablicy ogłoszeń wywieszony został wykaz na okres 21 dni, to jest od dnia 26.05.2022 r. do dnia 16.06.2022 r. nieruchomości przeznaczonych do:

I. Sprzedaży w trybie przetargu ograniczonego:

- działka nr ew.: 54/4 o pow. 0,1866 ha, położona w m. Michniowiec

II. Sprzedaży w trybie przetargu nieograniczonego:

- działka nr ew.: 48/3 o pow. 0,2469 ha, położona w m. Michniowiec

III. Sprzedaży w trybie bezprzetargowym, na rzecz osoby, której przysługuje pierwszeństwo w jej nabyciu:

- działka nr ew.: 211/3 położona w m. Bystre

Osoby, którym przysługuje pierwszeństwo w nabyciu nieruchomości, o której mowa w pkt I i II na podstawie art. 34 ust. 1 pkt 1-2 ustawy o gospodarce nieruchomościami mogą złożyć wniosek o jej sprzedaż w drodze bezprzetargowej w terminie do dnia 07.07.2022 r. Wniosek o nabycie nieruchomości powinien zawierać oświadczenie, że nabywca wyraża zgodę na cenę ustaloną w sposób określony w ustawie.

Szczegółowe informacje o nieruchomościach można uzyskać w Urzędzie Gminy w Czarnej, pokój nr 14 tel.: (13) 461 90 09.

Wójt Gminy Czarna
mgr Bogusław Kochanowicz

3, 4 i 5 CZERWCA
GODZ. 19:00 || BILET 18 ZŁ
akcja / fantasy || wiek +13 || czas 2 godz. 7 min

BOSCY
KOBIECA KOMEDIA O MĘSKIEJ RYWALIZACJI
10, 11 i 12 CZERWCA
GODZ. 19:00 || BILET 18 ZŁ
dramat / komedia || wiek +15 || czas 1 godz. 39 min

konkurs balkon
na najpiękniej ukwiecony balkon
i najpiękniej zagospodarowaną
i ukwieconą posesję
edycja 2022
kwitnące
Ustrzyki Dolne

KRYTERIA OCENY:

- tworzenie miejsc przyjaznych pszczołom, poprzez wprowadzenie roślin miododajnych
- różnorodność gatunkowa roślin
- kompozycje architektoniczne i roślinne
- estetyka i porządek
- pomysłowość i oryginalność kompozycji
- wykorzystanie małej architektury, elementów zdobniczych

zgłoszenia do 15 czerwca
Formularz zgłoszeniowy do pobrania na www.ustrzyki-dolne.pl
lub w punkcie informacyjnym w Urzędzie Miejskim w Ustrzykach Dolnych.

Reklama
w Gazecie Bieszczadzkiej
tel. 13 461 13 22

REKLAMA

**FREZOWANIE
ROZWIERCANIE
KOMINÓW**

Wkłady
żaró - kwaso
odporne
sprzedaż - montaż

+48 604 500 288

www.rozwiercaniekominow.pl

**AUTOMATYCZNE
UKŁADY
NAWĘGLANIA**

PODAJNIKI NA:
EKOGROSZEK, MIAŁ, PELLET, OWIES.
OD 12KW DO 150 KW

+48 605 530 288



GAZETA BIESZCZADZKA

Adres redakcji:
ul. 29 Listopada 31, 38-700 Ustrzyki Dolne
Tel. 13 461 13 22
www.bieszczadzka24.pl
e-mail: redakcja@bieszczadzka24.pl

KRZYSZTOF POTACZAŁA
— redaktor naczelny
e-mail: k.potaczala@bieszczadzka24.pl

ADAM LEN — desktop publishing;
e-mail: adam.len@vp.pl

Wydawca:
Ustrzycki Dom Kultury,
38-700 Ustrzyki Dolne,
ul. 29 Listopada 31, Tel. 13 461 13 22
Druk: Polska Press Sp. z o.o., oddział
Poligrafia, drukarnia w Sosnowcu

Redakcja zastrzega sobie prawo
redagowania tekstów dziennikarskich,
ich skracania, opatrywania własnymi
tytułami i śródtytułami, ilustrowania.
Za treść ogłoszeń, reklam i listów
redakcja nie odpowiada.

ustrzyki
dom
kultury

**USTRZYKI DOLNE, UL. 29 LISTOPADA 26
TEL. 13 461 29 39; 13 461 24 54**

FHU ADAM AGD RTV

CZAS NA KOSZENIE

KONKURS BIESZCZADZKIEGO PARKU NARODOWEGO



W lasach bukowych żyją różne gatunki motyli, których gąsienice odżywiają się liśćmi buka. Widoczna na zdjęciu ma należeć do rodziny pawicowatych. Samice są większe i mają dużo jaśniejsze ubarwienie (na zdjęciu) od samców. Łacińska nazwa gatunkowa pochodzi od białego rysunku w kształcie greckiej litery tau τ na ciemnym oczku. Plamki na przednich i tylnych skrzydłach przypominają oczy kregowców, co ma pewne znaczenie odstraszające. Dorosłe motyle pojawiają się od końca kwietnia do początku czerwca w starych lasach bukowych. To motyle o nocnej aktywności, chociaż samce latają też w dni słoneczne. Przypominają trochę żrudziak bukowe unoszone podmuchami wiatru. Błyszczące zwróty i chwiejny lot mają na celu zmylić polujących na nie ptaki. Owad zimuje w postaci poczwarki. Przepoczwarczenie odbywa się pośród opadłych liści.

EB

Jak nazywa się opisany i pokazany na fotografii nocny motyl?

Odpowiedź prosimy przysłać wyłącznie mailowo

na adres: konkurs@bieszczadzka24.pl do 2 czerwca 2022 r.

Prawidłowe rozwiązanie zagadki z numer 10 GB brzmi:

Okres godowy jaszczurki zwinki przypada na maj.

Nagrodę wygrała pani Brygida Mordarska. Gratulujemy.



FOT. EWA BUJAŁSKA

KALENDARIUM

29 maja 1843

W Oparach pod Samborem urodził się Władysław Łoziński. Był synem dzierżawcy, a następnie poczmistrza w Smolnicy Waleriana Łozińskiego. Absolwent gimnazjum w Samborze studiował na Uniwersytecie Lwowskim prawo i filozofię, ale ich nie ukończył. Zajmował się sprawami teatru w znaczeniu sceny lwowskiej, jak i samej instytucji (pisał m.in. eseje teatralne, był znakomitym felietonistą teatralnym, członkiem komitetu budowy Teatru Miejskiego we Lwowie, który został otwarty w 1900 r.). Prowadził działalność polityczną – w latach 1883–1889 był posłem do Sejmu galicyjskiego i do Rady Państwa w Wiedniu. Jako pisarz uprawiał beletrystykę (opowiadania, powieści, szkice), choć w młodości tworzył też wiersze. Napisał m.in. ludowy dramat „Przybłęda: obrazek dramatyczny z życia ludu ruskiego ze śpiewkami: w 2 aktach”, „Oko proroka”, „Nowe opowiadania imć pana Wita Narwaja, rotnistrza Konnej Gwardii Koronnej (1764-1773)”, „Skarb watażki”. Powieść z końca XVIII wieku i „Prawem i lewem”. Obyczaje na Czerwonej Rusi w pierwszej połowie XVII wieku”.

30 maja 1911

Zmarł Józef Gryf Czeplowski (Cieplowski), rodem z Olszanicy. Był z zawodu drukarzem, walczył w powstaniu styczniowym m.in. w oddziałach Piotra Wysockiego. Po rozbiciu oddziału brał udział w walkach w lasach łopiennickich i w bitwie pod Radziwiłowem w lipcu 1963 r. Po zakończeniu powstania pracował jako urzędnik kolejowy. Pochowany jest na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

30 maja 1959

Święcenia kapłańskie przyjął Mateusz Franciszek Ustrzycki. 10.05.1985 r. otrzymał nominację biskupią, a 3.07. tego roku przyjął sakrę biskupią. Był sufraganiem diecezji Hamilton w Kanadzie i tytularnym biskupem Nona. W 2007 r. przeszedł na emeryturę.

Czerwiec 1945

W Łupkowie został zorganizowany posterunek kolejowy MO. Służbę pełnił w nim siedmiu milicjantów, którzy mieli zabezpieczyć ruch pociągów na linii Zagórz-Łupków.

28 maja 1975

Sejm przyjął ustawę o dwustopniowym podziale administracyjnym Państwa oraz o zmianie ustawy o radach narodowych (Dz.U. z 1975 r. nr 16 poz. 91). Wprowadzona ustawa likwidowała powiaty, a podstawowymi jednostkami administracyjnymi stały się utworzone jeszcze w 1972 r. gminy oraz miasta i dzielnice większych miast. Zwiększono liczbę dotychczasowych 17 województw do 49. Powstały m.in. oddzielne województwa: rzeszowski, tarnobrzyski, krośnieński i przemyski. Decyzję o wprowadzeniu nowego podziału administracyjnego podjęto 12 maja 1975 roku podczas trwającego wówczas XVIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR.

4 czerwca 1989

Pierwsze częściowo wolne wybory w powojennej Polsce. Opozycja odniosła ogromne zwycięstwo w pierwszej turze, zdobywając 160

mandatów w Sejmie (z przewidzianych dla niej maksymalnie 161) oraz obsadzając 92 miejsca w Senacie (na 100 możliwych). Frekwencja w pierwszej turze osiągnęła 62 procent uprawnionych. Z okręgu krośnieńskiego, do którego należały też Ustrzyki Dolne, do Senatu i Sejmu kandydowali m.in.: Gustaw Holoubek, Andrzej Szczypiorski, Stanisław Orłowski, Paweł Chrupek, Wiktor Osiatyński, Wojomir Wojciechowski i Mieczysław Buziewicz.

29 maja 1994

Otwarto przejście graniczne Krościenko-Chyrow. Powstało dzięki umowie między Rządem Rzeczypospolitej Polskiej a Rządem Ukrainy z miejscem wspólnej kontroli granicznej po stronie polskiej. Jak informowała „Gazeta Bieszczadzka” z 9.06.1994 r., z tej też okazji o godz. 6:08 z Jasła wyruszył specjalny pociąg, który po drodze do Zagórza, Ustrzyki i Krościenka zabierał pasażerów zaproszonych na otwarcie przejścia granicznego. Początkowo przejście uruchomiono dla ruchu osobowego obywateli Polski i Ukrainy. Ruch graniczny rozszerzono na międzynarodowy dopiero 1 lutego 2006 r. W 2009 r. oddano do użytku nowy budynek odpraw i zadaszonny peron do obsługi pasażerskich połączeń kolejowych. 10 listopada 2010 r. Przewozy Regionalne zawiesiły wszystkie kursy pociągów osobowych przekraczających granicę.

3 czerwca 1996

Uruchomiono kolejowe przejście graniczne Łupków-Medzilaborce pomiędzy Polską a Słowacją. O godz. 12:25 na peron stacji w Łupkowie wjechał pierwszy pociąg towarowy z załadunkiem blachy ze Słowacji do portu w Gdyni. Decyzję o budowie przejścia kolejowego podjęto w pierwszej połowie 1995 r. Jego uruchomienie było poprzedzone m.in. remontem miejscowego zabytkowego budynku dworca, wydużeniem peronu o 200 m, wybudowaniem pomostu kontrolnego oraz remontem oświetlenia terenu i peronu.

28 maja 2010

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna w Ustrzykach Dolnych otrzymała imię prof. Eugeniusza Waniewa, ustrzyczanina, nestora malarstwa polskiego, pedagoga. Odsłonięto i poświęcono pamiątkową rzeźbę z wizerunkiem artysty. Została umieszczona na południowej ścianie biblioteki. W uroczystości wzięli udział m.in.: Marek Waniew, syn profesora, Łukasz Konieczko, prorektor ASP w Krakowie, Henryk Sułajka, burmistrz Ustrzyk Dolnych, Stanisław Turek, dyrektor Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie, i Anna Metyk, dyrektor PIMBP w Ustrzykach Dolnych.

27 maja 2012

Po długiej i ciężkiej chorobie zmarł Marian Nosal, z zawodu inżynier budownictwa, z zamiłowania poeta. Za wielkie wyróżnienie uważał podjęcie w 2007 r. prac związanych z renowacją i rozbudową kościoła Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski w Ustrzykach Dolnych, gdzie był głównym wykonawcą. Pisał także wiersze liryczne, filozoficzno-refleksyjne i religijne. Był autorem kilku tomików, w tym m.in.: „Jaśmin przekwitł”, „Jeszcze się pokłonię”, „Jedną drogą” i „Przez uchylone drzwi”. Był zapalonym wędkarzem, członkiem i długoletnim prezesem Koła Wędkarskiego PZW „Strwiąż” w Ustrzykach Dolnych, a także członkiem Zarządu Okręgu PZW w Krośnie.

SPOD ŁOPIENNIKA

MATEUSZ ŚWIERCZYŃSKI



Koniec białej plamy?

Gruchnęło ostatnio po Internecie, że autobusy wracają w Bieszczady. Tak jak kiedyś żubry. Mam wielką nadzieję, że obie historie potoczą się tym samym torem, czyli że za kilka lat widok zwykłego, kursowego autokaru będzie codziennością, tak jak spotkanie pasących się na śródleśnej łące dzikich, kudłatych krów.

Wykluczenie komunikacyjne to szeroki problem. Od dawna borykają się z nim mieszkańcy zarówno mojej Cisnej, jak i innych bieszczadzkich miejscowości. Od momentu, kiedy firma Veolia postanowiła nie świadczyć usług w naszym pięknym skrawku kraju, próba wydobycia się stąd komunikacją publiczną skazana była na porażkę. Oczywiście, w wakacje funkcjonowały połączenia do Krakowa czy nawet samej Warszawy, ale to były prywatne autokary czasowo obsługujące te trasy. Kiedy tylko pierwszy dzwonek ogłaszał powrót do szkoły, połączenia natychmiast się zwały. Dobrze, że nie wraz z asfaltem, który w wielkich belach mógłby – według firm transportowych – spokojnie przeleżeć do następnych wakacji.

A to właśnie poza sezonem urlopowym najbardziej korzystamy z komunikacji zbiorowej. Dzieciaki z Cisnej, Wetliny czy okolic przecież muszą dojechać do szkół. Niestety, nie ma u nas żadnej szkoły średniej (nad czym jako ojciec ósmoklasisty szczerze ubolewam), a co za tym idzie, że niebożęta skazane są na wyfrunięciu spod rodzicielskich skrzydeł albo codzienne dojeżdżanie do Leska czy Sanoka, albo zamieszkanie w bursie. A że nie wszyscy odnajdują się w internackiej rzeczywistości, to wygodny

i dopasowany godzinowo dojazd bardzo by się przydał.

Ale z transportu publicznego nie korzystają przecież tylko uczniowie. Jest cała masa osób starszych czy nieposiadających uprawnień do kierowania pojazdami. Oni także potrzebują kursowych autobusów. Przy obecnych cenach paliwa sam również przeliczybym koszt wyjazdu do powiatu i jeśli taniej wyszedłby autobus, to chętnie bym z niego skorzystał. Jeśli do tego dodamy turystów, którzy mają czasami poczuć klimat dawnego przemierzania Bieszczadów, z plecakiem i namiotem w ręce, to mamy wielkie zapotrzebowanie na publicznego przewoźnika.

Zawiązanie się Bieszczadzkiego Związku Komunikacyjnego było naprawdę dobrym pomysłem. Od dawna wiadomo, że tylko zgoda buduje. Duży, łączący w sobie siły dziesięciu gmin podmiot ma zdecydowanie inną siłę przebicia niż pojedyncza gmina Cisna gdzieś na „końcu świata”. To właśnie to połączenie sił sprawiło, że udało się uzyskać dofinansowanie do reaktywacji transportu publicznego w Bieszczadach i już od 1 czerwca ma być uruchomionych 10 stałych połączeń z Leskiem, Sanokiem, a nawet Rzeszowem. Piękny prezent na Dzień Dziecka.

Mam nadzieję, że świętowanie nie okaże się przedwczesne, zaś sam powrót autobusów krótkotrwale eksperymentem. Pieniądze są przyznane do końca roku, potem się okaże. Jeśli transport publiczny będzie miał jakieś sensowne obciążenie, to autobusy na stałe wpiszą się w lokalny krajobraz. Jeśli nie, znów odcujemy, jak bardzo nam ich brakuje. Dlatego sparafrazuję słynny slogan z czasów minionych: „Mieszkańcy na autobusy!” Pewnie nie będzie szybko, ale powinno być taniej i z korzyścią dla środowiska. A że tych parę minut dłużej będziemy jechać? Przecież nie zawsze musimy się spieszyć. Czasami lepiej wrzucić na luz..., oby nie z górki.

SZLACHETNE ZDROWIE

KRZYSZTOF MARCELI WNUK



Iść, ciągle iść...

W poprzednich felietonach poruszyłem problem stanu przedcukrzycowego – jako zagrożenie rozwoju pełnoobjawowej cukrzycy. Pisałem również o konieczności ruchu, jako jej zapobieganiu. Ale zanim napiszę o ciężkich chorobach będących powikłaniami i skutkiem cukrzycy, jeszcze słów kilka o ruchu i jego wpływie na nasz mózg.

Okazuje się, że aktywność fizyczna, nawet zwykły spacer, nie tylko zmniejsza ryzyko zmiany stanu przedcukrzycowego w cukrzycę, ale również spowalnia proces starzenia się naszego mózgu. Z upływem lat cały mózg maleje. Zbadano, że ośrodek pamięci mózgu zwany hipokampem kurczy się o 1–2 procent rocznie, dlatego coraz trudniej przypomnieć sobie rzeczy, które kiedyś przychodziły do nas z łatwością. Ból i frustracja związane z zapominaniem powinny motywować nas do robienia wszystkiego, aby podtrzymać w dobrym stanie ten obszar naszego mózgu – główną przechowalnię wspomnień.

Do robienia wszystkiego? Wystarczy chodzić. Banalne, ale dotyczy to młodych i seniorów. Badania prowadzone w różnych grupach wiekowych. U młodych

wzrasta kreatywność, u starszych spowalnia się, wręcz cofa starzenia mózgu, poprawia się pamięć. Wspomniany wcześniej ośrodek pamięci mózgu – hipokamp, u regularnie chodzących seniorów nie zmniejszał się, a wręcz powiększył w odniesieniu do badań przed rozpoczęciem spacerów 3 razy w tygodniu przez 30–40 minut. Aktywność fizyczna zwiększa przepływ krwi przez tkanki, w tym również przez mózg.

Ale czy tylko to? Okazuje się, że intensywnie pracujące mięśnie wytwarzają określone substancje, tzw. miokiny. To ich obecność we krwi osób aktywnych fizycznie wpływa pozytywnie na pracę mózgu. O konieczności spacerów i ich dobroczynnym wpływie na myślenie pisali Karol Darwin, Fryderyk Nietzsche, a pisarz i filozof Jean Jacques Rousseau mawiał, że kiedy staje jego ciało, zatrzymują się też jego myśli.

Jeszcze jedna kwestia wynikająca z przeprowadzonych badań. Ważne jest również to, którą spacerujemy. Udowodniono, że spacer wzdłuż ruchliwej ulicy jest zdecydowanie mniej korzystny niż spacer po lesie. Również dla zdrowia psychicznego powinniśmy chodzić tam, gdzie są drzewa, ptaki i cichy szum wiatru. W Bieszczadach jesteśmy w świetnej sytuacji, mamy to na wyciągnięcie ręki. Korzystajmy.